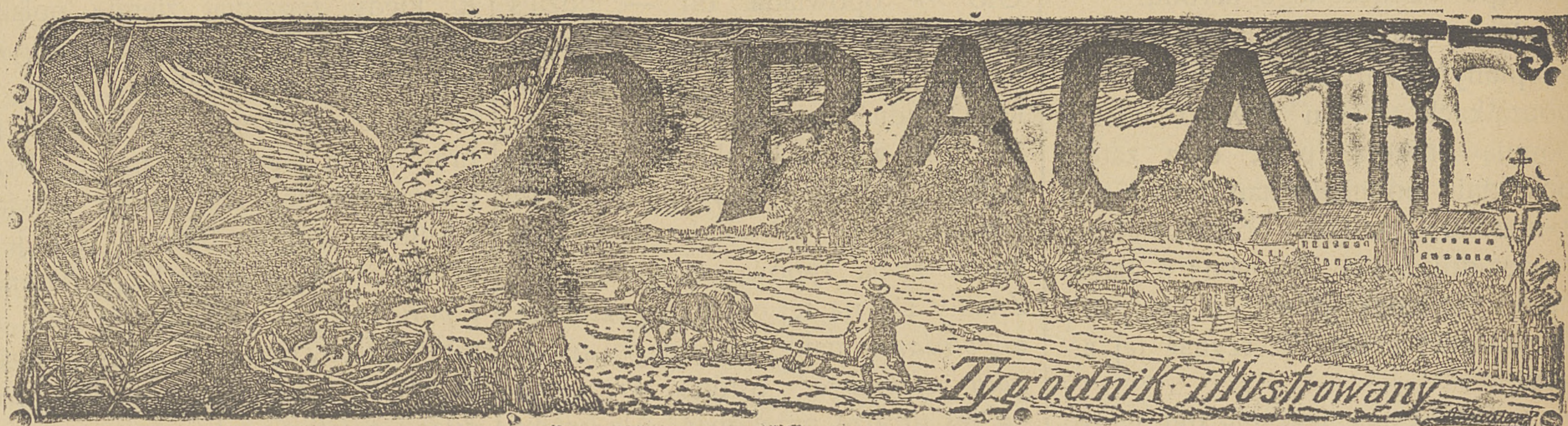
Nr. 45. POZNAŃ. — KATOWICE. — KRAKÓW. Rok V.
Niedziela, dnia 10-go Listopada 1901 r.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
Pod opaską: w Niemczech **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.**, *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Pruska kultura.

...A kiedy utulaliśmy was opiekuńczemi skrzydły naszemi, jakże wówczas u was wyglądało? Na polach chwast i zielsko, drogi bezdrożami, w nędznych i walących się chałupach, nędzny i jeżeli jeszcze nie pijany, to pijący lud. Wszędzie lenistwo, nieład, wszędzie ciemnota umysłowa, wszędzie bieda, kłótnie i zbrodnie. Dzieliliście się na dwie kasty: na ciemięzców i ciemiężonych; ta kasta była jeszcze zwierzęcą, tamta już zezwierzęcałą.

— A dzisiaj — spojrzcie tylko, jakże się wszystko zmieniło! Każda piędź roli kwitnie i rodzi, do każdej nieomal prowadzą drogi brukowane, na miejscu powywalanych chałup waszych niby zamczyska sterczą domy z cegły pobudowane, a w domach porządek; gdzie dawniej stały wypróżnione butelki, dzisiaj znajdziesz książkę pouczającą. Wszędzie *praca,* a dlatego większy *dobrobyt.* Myśmy przed narodem waszym nieśli „oświaty kaganiec." Podnieśliśmy was *moralnie i ekonomicznie.* Przedewszystkiem daliśmy wam *stan średni silny i zdrowy,* To wszystko nasze dzieło, *to wszystko dzieło pruskiej kultury!*

— A wy czem nam płacicie za nasze dobrodziejstwa? Dajemy wam pruską kulturę, a wy wołacie: Jesteśmy i pozostaniemy Polakami; słodzimy wam byt cukierkami oświaty niemieckiej, a wy wrzeszczycie: Nie damy się zgermanizować; mówimy do was wielkim językiem światowym, językiem Goethe'go, a wy go przyjąć nie chcecie i wiecznie używacie jakiejś tam prowincyalnej gwary.

— W ten sposób mniejwięcej prawią zawodowi germanizatorzy na trybunie parlamentarnej, na wiecach i zebraniach, w gazetach i broszurach. Mianowicie w broszurach agitacyjnych, które w ostatnich czasach pojawiają się tak często — ze stosownemi wykrzyknikami na karcie tytułowej w oknach księgarskich—tegoż używają motywu, gdyż brzmi on tak przekonywająco, że bardzo łatwo omamić nim ludzi bezkrytycznych, szczególnie takich, którzy w głębi Niemiec mieszkając, dowiadują się z tego rodzaju literatury o stosunkach polskich.

A że motyw ten do pewnego stopnia oparty jest na faktycznych danych, powtarzają go nawet Polacy sami i wyciągają z niego wniosek, by zachowywać się mniej odpornie wobec zalewu germanizmu.

Ostatni wzgląd daje nam właśnie powód do zastanowienia się nad poruszonem zjawiskiem.

Prawda! Przez wiek niewoli *zapomnieliśmy wiele i wiele się nauczyliśmy.*

Lecz czyż w tem wyłącznie zasługa rządu zaborczego? Czyż nie jest historycznie potwierdzonem, a psychologicznie zrozumiałem, że tak jak jednostka, tak i naród gnębiony skupia w sobie wszelkie siły fizyczne i psychologiczne, że zdobywa się na energią, o której dawniej nie marzył?

Dlatego też nasienie nań rzucone tak łatwo się przyjmuje i tak bujne rodzi owoce. Ciemięzca zatem *ciemiężeniem właśnie* czyni ów grunt tak żyznym, lecz tylko tendencyjna logika, która więc logiką nie jest, może na tem opierać hasło przejścia do obozu ciemięzcy. Że właśnie ciemiężenie uczyniło grunt ten tak podajnym, dowodzi, iż wróg

wprost *mimowoli* przyczynił się do postępu ciemiężonego narodu.

Pięść Napoleona wywołała w zdeptanym narodzie niemieckim w początkach wieku XIX-go wiekopomną energią, pięść owa zatem pośrednio podniosła naród niemiecki z upadku; lecz tylko pokrętna głowa może dojść do wniosku: a zatem naród niemiecki powinien był pięść tę całować, a nie przerzynać jej arteryi.

...Gdybyśmy was nie byli wprowadzili na pruskie salony, ale pozostawili was w polskim waszym śmietniku, wyglądałoby w nas dzisiaj tak, jak wyglądało przed wiekiem — mówią dalej nasi dobrodzieje germanizatorzy.

Jak widzimy, to tylko fanatyczne przypuszczenie i to przypuszczenie wprost naiwne. Czyż naród nasz posiada szczególną jakąś skórę *nieczułą na postęp czasu?* Gdzież na to dowody? Czyż przetrwaliśmy wieki *samodzielnego* istnienia równie nieruchomo, bez kroku naprzód, *zawsze tacy sami?* A wiek XIX-ty, ów wiek tylu nowych haseł, ów wiek tylu wspaniałych zdobyczy, miałby dla nas być tylko bajką opowiadaną przez podróżników zagranicznych? Nie warto się dłużej zastanawiać nad powyższem bajecznem przypuszczeniem.

Ale... ale — rycerze zakonu HKT, albo pokrewni im duchem, mają na nie oczywiste *dowody.* Tak n. p. niejakiś pan *Krahl* w broszurze p. t. *„Auf! gegen die nationalpolnische Wühlarbeit!* — wskazuje na Galicyą, gdzie mamy samorząd i wspomina na skandal lwowskiej kasy oszczędności, dodając, że: „da waren alle Augen starr vor solchen Enthüllungen am Ende des XIX. Jahrhunderts.“ Że państwo niemieckie *am Anfang des XX. Jahrhunderts* gorsze nam dało widowiska — *Ja, Bauer, XIX. und XX. Jahrhundert — das ist was anderes.* Albo może buta krzyżacka uniewinni się zdaniem: *Wir Deutschen, wir können uns das leisten...*

Lecz przecież naród polski — to horda zbójecka, którą tylko pruski poskramiacz utrzymuje w karbach. I na to ów pan *Krahl* ma *dowód.* Oto — opowiada on — gdzieś tam wśród wychodźtwa polskiego na zachodzie Niemiec między spokojną ludnością niemiecką podczas jakiegoś wesela polskiego powstaje bójka, przy której używają *pistoletu i noża* — ot *to polska krew,* to kawał życia typowo polskiego. — Znamy się na tej oklepanej sztuczce *uogólniania* najdrobniejszego *szczegółu ujemnego;* trudno więc *nas* na tej drodze przekonać. Ale każdy *Niemiec* nie mający z nami żadnych stosunków w tego rodzaju rozumowania uwierzy. A że prasa tamtejsza podobne wiadomości z tendencyjnem zabarwieniem skwapliwie kolportuje, przeciętni mieszkańcy zachodnich kresów niemieckich mają o nas pojęcia strasznie *śmieszne,* ale także *zgroźne.* Wyobrażają oni sobie nas jako dzicz brodzącą w nietających śniegach pośród niezliczonych stad wilków!.. jako *plagę europejskiej cywilizacyi,* plagę, którą zniweczyć jest obowiązkiem kulturalnego człowieka. Słowa nasze brzmią tak strasznie błazeńsko i naiwnie — nie mówilibyśmy też o tem, gdybyśmy nie byli poczynili odnośnych śmiesznych *doświadczeń.* Nawet warstwy *inteligentne* tamtejsze, jeżeli nie tak *głupie,* to w każdym razie bardzo *dziwaczne* mają o nas pojęcia. W nich należy też głównie szukać powodu rosnącej *nienawiści rasowej.* Ale nie o niej tutaj mowa — wracamy więc do rzeczy.

— Jako na swoje dzieło wskazuje nam pruski działacz na polski *stan średni.* Lecz chyba jeden rzut oka na obecny ogólny ustrój ekonomiczno-społeczny okaże, że stan średni to konieczne dzieło czasu i ogólnych stosunków świata cywilizowanego. Wiek XX niechybnie jest *wiekiem stanu średniego.*

Fałszem jest, że my w całym wieku niewoli graliśmy rolę *tylko bierną,* że nam gwałtem nektar kultury wlewano do gardła. My cierpieliśmy wiele i dlatego *raźno szliśmy naprzód* — i pójdziemy tak nadal. A jeżeli dużo pierwiastków kulturnych pruskich do tego się przyczyniło, to rozważmy sobie, *czy wogóle mogło być inaczej.* Rząd pruski, kiedy zagarniał ziemie polskie, zagarniał kraj z ludźmi *wolnymi, nie z helotami.* Należało nam się potem obchodzenie się równe, jak prapruskim jego poddanym. Przypuszczenie nas do zdroju oświaty i kultury wogóle było i jest jego *obowiązkiem,* obowiązkiem *ludzkim i państwowym,* odsunięcie nas od niego byłoby *zbrodnią.* Prusacy wzięli nam tyle, wzięli nam *wszystko* prócz *duszy polskiej,* a to, co nam za to dają, nie jest w porównaniu niczem. A i to nie dają nam darmo. Czyż nie płacimy za „dobrodziejstwa“ owe krwią polską, przelaną w imię nie naszej sprawy, służbą w wojsku pruskiem, podatkami coraz większemi i cięższemi? Za to, co rząd nam daje, za owe dodatnie pierwiastki „pruskiej kultury“ *płacimy rzetelnie. Prusy nie są naszym wierzycielem, my zaś nie jesteśmy Prus dłużnikami!*

— A zresztą ileż wysiłków czyni się, by nas właśnie oddalić od prawdziwej kultury! Komisya kolonizacyjna siłą finansową bierze nam z dłoni glebę naszą rodzinną — czyż to pomnik kultury? Czyż nauczanie dzieci polskich, owych dzieci umiejących *myśleć* tylko po polsku, czyż nauczanie ich religii — mającej im być życia podstawą — w obcym języku — jest dziełem kulturnem? — Albo czy to szczególny objaw *„pruskiej* kultury“? — A kiedy ludzie, którzy tak górnie prawią o niemieckim swoim języku i każą go szanować i kochać, mówią:

„Niemals hörten die Polen auf, an die Wiedergeburt des polnischen Reiches zu glauben, sie thun es unentwegt auch heute noch, und werden nicht eher von dieser Hoffnung lassen, *als bis einst die polnische Sprache nur noch als einer vergangenen Zeit angehörend gilt*“ *(Krahl, str. 14.)* — w jakim kącie moralności umieścić wniosek z owego zdania milcząco wysnuty?

Albo czy to znowu owa *„pruska* kultura“, za którą *wdzięczni* być winniśmy?

Hodie.

Bezpodstawne obawy.

Jedną z głównych wad politycznych narodu polskiego w ostatnich wiekach było ustawiczne oglądanie się na obcą pomoc, liczenie na sympatye innych narodów, przy zupełnem niemal zaniedbywaniu własnych sił żywotnych. Mściło się to srogo — a mściło wielokrotnie. Życzliwość i pomoc obcych zawsze zawodziła, a nam poszkodowanym pozostawało jedynie smutne przeświadczenie, że sprytniejsi od nas dla własnych celów w pole nas wywiedli — no i narzekanie na niewdzięczność sławionych przedtem przyjaciół.

Jak gdyby w polityce istniała wdzięczność i *bezinteresowna* życzliwość!

Z tego ustawicznego liczenia na obcych zrodził się u nas zupełny niemal zanik ufności we własne siły. Spodziewając się pomocy Francyi — ojcowie nasi w r. 1863 rzucili się w szalonym iście porywie z „kijami na bagnety“ — czyli innemi słowy: nadzieja obcej pomocy porwała nas do czynu, graniczącego z samobójstwem. Dziś zaś nawet poważne koła obawiają się najstraszniejszych dla nas następstw, bodaj czy nie zupełnej zagłady — jeżli odrzucimy „pomoc“ i „opiekę“ stronnictwa Centrum....

Wprost przykry to objaw! Przed walką kulturną nie było stronnictwa Centrum — a jakoś nie zginęliśmy, chociaż rząd pruski i wtedy już nie szczędził zabiegów, aby nas zatopić w morzu niemczyzny. Dziś co prawda — odnośne wysiłki rządu przybrały stokroć niebezpieczniejszą formę i obok rządu godzi na narodowy i ekonomiczny nasz byt większość narodu niemieckiego; ale też siły nasze są stokroć znaczniejsze — mimo utraty ziemi, niż były przed walką kulturną.

Obawa przed możliwem pogorszeniem się położenia naszego w razie zerwania z Centrum odezwała się znów głośniej z powodu wydania broszury pana M. Biedermanna: „Pobudka.“ Bo też takie zerwanie jedynie nastąpić by mogło w razie wyparcia stronnictwa Centrum ze Śląska. Niedawno „Słowo“ warszawskie wprost ostrzegało nas przed takim krokiem — nazywając go „fatalnym błędem politycznym“, który może nas zdać zupełnie na łaskę lub niełaskę rządu, gdyż nie konstytucya, jedynie opieka Centrum strzeże nas jeszcze przed nowymi ciosami. Podobnie odzywa się „Czas“ krakowski — nazywając usiłowania w tym kierunku radykalizmem, a nawet najpoważniejszy organ poznański, wysoko przez nas ceniony „Kuryer Pozn.“ — przyznając zresztą racyą bytu dążnościom, których wyrazem stała się „Pobudka“ — obawia się — a nawet jest przekonany, że wojna między nami a Centrum „może ułatwić rządowi nowe środki represyjne przeciw nam.“ Czytając wszystkie te głosy możnaby rzeczywiście przypuszczać, że „Praca“ i jej wydawca dążą rozmyślnie do osłabienia sił naszych, do narażenia społeczeństwa naszego na nowe ciężkie doświadczenia — do ściągnienia na nas nowych ustaw wyjątkowych....

My tymczasem, to jest „Praca“ i „Pobudka“ mamy na celu nie uszczuplenie, lecz przeciwnie *pomnożenie sił naszych żywotnych i obronnych.*

Pisaliśmy już o tem często — lecz wobec nowych tych obaw raz jeszcze warto zastanowić się nad pytaniem: *Czy rzeczywiście bez pomocy Centrum ostać się nie możemy?*

Przypatrzmy się więc bliżej i uważniej tej „pomocy.“

Centrum okazywało Polakom tylko tak długo „bezwzględną“ życzliwość, dopóki interesy polskich i niemieckich katolików *porówno* były zagrożone, a więc w początkach i peryodzie kulminacyjnym walki kulturnej. Życzliwość tę okupiono ze strony polskiej zresztą bardzo drogo. Bo zamiast już w początkach walki kulturnej rzucić zasiew narodowej agitacyi na Górny Śląsk oddano go dobrowolnie niemieckiemu stronnictwu, które „wspólnością wiary“ pochłonęło tam dużo, bardzo dużo dusz polskich. „Wspólność wiary i interesów religijnych“ nigdy zresztą nie powstrzymywała niemieckiego Centrum od manifestowania *niemieckiego* swego charakteru wobec Polaków. Przypominamy tu tylko głośne wystąpienie barona Schorlemera z Alst przeciwko Polakom, gdy ci w wiadomej sprawie udali się z *pokorną prośbą* do arcybiskupa Niemca — ks. Dindera. A gdzież była pomoc i życzliwość Centrum, gdy oto w roku 1885 nastąpił „additus ad pacem“ pomiędzy Rzymem a rządem pruskim? Aby tylko niemieckim katolikom zapewnić swobodę wyznaniową, Centrum poświęciło wprost Polaków i dyecezye polskie, zgodziło się na to, że w tych dyecezyach obowiązują po dziś dzień wyjątkowe przepisy, że wykluczono z nich wszystkie niemal zakony. Fakt, że sędziwy Windhorst płakał nad tem w sejmie nie zmienia bardzo niepięknej postaci rzeczy. A ileż to razy w nowszych czasach Centrum wprost zmuszało Koło polskie do milczenia, odmawiając mu poparcia w bardzo ważnych kwestyach narodowościowych i językowych, lub głosując za rychłem zamknięciem dyskusyi, aby tylko polskich skarg nie dopuścić do głosu?

A jakże ta życzliwość i pomoc centrowa przedstawiała się przy ostatnich i przedostatnich wyborach do sejmu i parlamentu? Polacy w jednym okręgu wprost głosowali na kandydata centrowego i dopomogli mu do zwycięztwa (w Lesznie), w drugim zaś również zgodzili się na postawienie centrowej kandydatury — jakkolwiek w obu okręgach dwukrotnie liczbą przewyższają liczbę katolików niemieckich. W zamian za to pojawiły się we wszystkich okręgach zachodnio-pruskich obok polskich także centrowe kandydatury, aby tylko nie dopuścić, iżby Niemcy katolicy oddali swój głos na Polaka.

Analogicznie do sytuacyi ówczesnej w okręgu leszczyńskim możnaby żądać np. w którym z okręgów westfalskich i nadreńskich, gdzie Polacy stanowią pokaźny procent wyborców, aby centrowcy dla odmiany, w zamian za długoletnią pomoc Polaków raz też raczyli głosować gremialnie na kandydata polskiego. Prosimy wystąpić z taką propozycyą — a „życzliwość“ centrowców zajaśnieje nam w całej pełni. Przedsmak tej życzliwości mieliśmy przecież już w okrągu Duisburgskim tego roku — jakkolwiek tam Polacy bynajmniej nie żądali od Centrum takiej bezinteresownej.. uprzejmości, jaką okazali wobec Centrum Polacy w Leszczyńskiem.

A cóż dopiero powiedzieć o G. Śląsku! Lecz o tem obszernie informuje nas „Pobudka“ — przytaczając wręcz jaskrawe przykłady „życzliwości“ Centrum dla tamtejszych rodaków naszych.

Centrum ot zawsze tylko dopóty ujmowało się za Polakami, dopóki wymagał tego własny jego interes. W innych razach ani palca nie skrzywiło w obronie polskich swych sprzymierzeńców.

Przypatrzmy się teraz co na zerwaniu z centrum ludność polska stracićby mogła?

Niema chyba między nami już tak naiwnych, którzyby przypuszczali, że od dalszych ciosów ochronić zdoła ludność polską konstytucya pruska. Zanadto często ją przedziurawiono, iżby uważać ją można za paladyum polskiej ludności. A czyż częstemu temu przedziurawianiu konstytucyi na naszą niekorzyść Centrum zdołało przeszkodzić, czyż w jednym chociażby wypadku zdołało od nas odwrócić jaki cios nowy. Prosimy wymienić nam chociaż jeden — *jeden* tylko.

Przecież Centrum stale głosuje przeciwko ustawie kolonizacyjnej — funduszom gadzinowym, zbyt intenzywnej germanizacyi w dziedzinie szkolnej — a z jakim skutkiem? Czyż wobec opozycyi centrowej upadło chociaż jedno z tych praw, czyż chociaż jedno złagodniało? Bynajmniej! Sprawy polskie należą do kompetencyi sejmu, a w tymże sejmie stronnictwa antipolskie taką stanowią większość, że rząd drwić sobie może z opozycyi centrowej.

Możnaby ot spodziewać się po niej pewnego sukcesu, gdyby Centrum za krzywdy wyrządzane Polakom przez sejm, mścić się chciało w *parlamencie*, gdzie rzeczywiście stanowi „języczek u wagi“.

Ale czyż można się tego spodziewać, czyż chociażby jeden jedyny wypadek uprawnia do takiej nadziei? Mieliśmy w parlamencie kilkakrotnie ze strony Centrum bardzo patetyczne poparcie i ujmowanie się za nami... *pięknemi słówkami* — z czego niektóre nasze „powagi“ zaraz konstruowały: „moralne zwycięztwa“; ale ani razu *praktycznej, skutecznej* pomocy. Przy rozstrzyganiu o kwestyach ogólnoniemieckich Centrum ma na względzie jedynie polityczne interesy Niemiec, no i *własne*. Dla tych ostatnich niejednokrotnie już przekreśliło plany rządu, *nigdy atoli* jeszcze nie odrzuciło ani jednego rekruta, ani jednej pozycyi etatowej, ani jednego projektu, ujmując się za krzywdami Polaków. „Pomoc“ centrowa nigdy jeszcze żadnej nawet szykany nowej nie odwróciła od Polaków, przecież i w sprawie *adresów* polskich nic zgoła nie pomogła, więc jakie mieć może dla Polaków znaczenie?

A jeżeli Centrum dotychczas faktycznie nic dla nas uczynić nie zdołało lub nie chciało, to czegóż spodziewać się możemy po niem w przyszłości, gdy już dziś i do jego szeregów wdziera się coraz widoczniej szowinizm narodowy.

Nie! od dalszych ciosów, od dalszego uciskania ludności polskiej nie powstrzymają rządu pruskiego ani konstytucya, *ani Centrum*. Dokazać tego zdołają inne względy, które się wyłonią z czasem z dzisiejszego szowinizmu oraz z ogólno-politycznej sytuacyi, nigdy atoli zdziałać tego nie może i nie zechce Centrum.

Czy zresztą Centrum koniecznie — gdy Śląsk wyzwoli się z pod jego panowania *musi* zmienić i czy napewno zmieni swą taktykę, swe zasadnicze stanowisko względem Polaków?

Jeśli Centrum wiernie *i szczerze* stoi przy swych wzniosłych zasadach *„za wolność, prawdę i sprawiedliwość“ — w takim razie mimo wyparcia ze Śląska* powinno głosować zawsze przeciwko gwałceniu narodowych i konstytucyjnych praw ludności polskiej. *Ludzie zasad* tak zaraz dla urojonej, osobistej krzywdy nie nazwą przecież dziś białem tego, co wczoraj za czarne uważali. A jeśli tak łatwo zmieniają swe zasady, to czyż można na nich *polegać*, wierzyć ich *zasadom?*

W takim razie powinniśmy być przygotowani i na to, że i *bez oderwania Śląska* Centrum w swej chęci rozszerzania władzy coraz silniejsze pęta nakładać będzie Kołu polskiemu — a ostatecznie zażądać może, aby polscy posłowie nie stanowili osobnego „Koła“, lecz należeli do Centrum. Co wtedy? Wtedy znów, sprzeciwiając się takiemu uroszczeniu — obawiać się będzie trzeba zerwania z Centrum i zmiany jego taktyki względem nas.

Są ludzie, są narody, są stronnictwa, którym niebezpiecznie podać mały nawet palec, bo pochwycą zaraz całą rękę. Do tej kategoryi należy i Centrum, na co chyba nie braknie dowodów.

Co więcej: jeśli Centrum rzeczywiście jest tak niezłomnie wiernem swym zasadom, jak to o niem przypuszczają jego wśród nas wielbiciele, to czyż nie powinno było dawno już uznać słusznych praw ludności polskiej do Śląska i słusznych żądań tamtejszych Polaków? Przyrodzonego prawa do tej dzielnicy Polakom chyba odmówić nie można. Tymczasem Centrum zwalcza nawet najskromniejsze żądania ludności polskiej z brutalną wprost butą i stanowczo odrzuca wszelkie propozycye zgody, czynione ze strony tamtej-

szych przywódzców polskich. Toć nawet rzekomo „radykalna“ partya „Nowin Raciborskich“ już przed 10 laty bezustannie podawała Centrum rękę do zgody za cenę bardzo szczupłych ustępstw na rzecz praw ludu polskiego — a raczej na rzecz *równouprawnienia* polskich i niemieckich katolików *wewnątrz* Centrum. Za tę samą bardzo skromną i bardzo słuszną cenę zarówno „Katolik“ bytomski jak i „Gazeta Opolska“ bezustannie z podziwu godną cierpliwością i pokorą podaje centrowcom „dłoń do zgody,“ a zawsze na próżno. Ciekawiśmy tedy, jak zwolennicy Centrum u nas wyobrażają sobie utrzymanie dalszego sojuszu z Centrum?

Wobec faktu, że Centrum względem ludności polskiej Śląska nie postępuje według swych zasad programowych, a i wogóle względem reszty ludności polskiej o tych zasadach często zapomina, byłby dalszy sojusz między niem a nami możliwy jedynie

1) za cenę zupełnego wyrzeczenia się *Śląska;*

2) za cenę bezwzględnej dalszej uległości Kół polskich dla przywódzców centrowych — czyli razem: za cenę utraty zupełnej naszej politycznej niezależności i samodzielności.

Takiej ceny za ten sojusz nie zechcą chyba zapłacić nawet najzagorzalsi adoratorzy tegoż stronnictwa w polskim obozie.

Zważywszy to wszystko — wynika jasno:

Na zerwaniu z Centrum społeczeństwo polskie w zaborze pruskim absolutnie nic stracić nie *może. Przez odzyskanie Śląska dużo zaś może zyskać!*

Zamiast tedy żebrać pomocy u obcych — pomnażajmy rozumnie własne siły; przedewszystkiem zaś nie osłabiajmy naszej siły odpornej *bezpodstawnemi* obawami.

Poznańczyk.

Przyszłe wybory
na Górnym Śląsku.

Nareszcie!

Nareszcie po raz pierwszy w swoim długim żywocie „Katolik“ objawił światu swój program polityczny. Poród był ciężki, a akuszerkami przy nim były: stronnictwo demokratyczno-narodowe i „Praca“. Cała Polska, rzec można, ciekawa była płodu „Katolika“ i niemało była rozczarowana zobaczywszy bękarta, któremu matką jest sprawa narodowa, a ojcem centrum niemieckie.

Piszemy wyraźnie, że bękarta tego porodził „Katolik“, bo mimo, że redakcye trzech śląskich pism są jego ojcami chrzestnymi, w gruncie rzeczy trójca ta jest jedną osobą. „Nowiny Raciborskie“ są bowiem własnością „Katolika“, spółki z ogr. por., a „Gazeta Opolska“ finansowo od niego zupełnie zależna.

Po tym krótkim wstępie dla wyjaśnienia formalnej strony deklaracyi Katolikowskiej, rozpatrzmy teraz szczegółowo enuncyacyę jego, wypływającą ze „statecznego“ rozumu jego redaktorów.

I.

„Katolik“ przedewszystkiem twierdzi, że narodowe odrodzenie Górnego Śląska jeszcze nie jest dokonane, ale nie przeczy, że „nie brak ludzi na G. Śląsku narodowo myślących i gorąco działać pragnących!“ Otóż my oświadczamy, że *„Praca“ nigdy nie twierdziła, jakoby cały lud górnośląski* składał się z jednostek „narodowo myślących i gorąco działać pragnących“. Gdyby tak było, możemy śmiało zaręczyć, iż spółka bytomska musiałaby była już dawno spakować swoje manatki i gdzieindziej rozbić swoje namioty! — —

Twierdzimy dalej, iż niema wogóle społeczeństwa na świecie i nigdy go nie było, któreby, całe bez wyjątków, ożywione być mogło jednemi i temi samemi uczuciami w czasach zwyczajnych. Nigdzie w Polsce masy ludowe nie są więcej narodowo uświadomione jak u nas na G. Śląsku, nawet w Księstwie Poznańskiem, gdzie wybierają posłów Polaków.

Wybory, jak każde inne zjawisko społeczne, zależą oczywiście od rzesz ludu, tego nikt nie przeczył i nie przeczy.

Lecz zdają się nie wiedzieć ludzie „polityki statecznego rozumu“, w jaki sposób ta zależność zjawisk społecznych od rzesz ludu się wytwarza.

Wytwarza ona się pod wpływem pewnemi uczuciami i zapatrywaniami ożywionych jednostek, które właśnie owe rzesze ludu naśladują i których uczuciami i względami się przejmują.

Otóż my twierdzimy, że liczba tych jednostek, kierujących rzeszami na Śląsku przynajmniej w obwodzie przemysłowym, jest zupełnie wystarczającą do przeprowadzenia wyborów pod hasłami wybitnie narodowemi.

Że życie społeczne w ten sposób się odbywa, „Katolik“ sam wie najlepiej, bo nieraz urzeczywistniał swe spekulacye i aspiracye polityczne na tej właśnie drodze.

Dalej „Katolik“ twierdzi, że program narodowościowy dla Śląska jest niewystarczający. Ależ oczywiście, tak jak on go pojmuje, jako coś zupełnie oderwanego i w obłokach bujającego, jest on nawet zupełnie śmieszny! — —

Domagalności narodowościowe bez uwzględnienia życia społecznego a szczególniej gospodarki narodowej, są słońcem bez ciepła, martwym bożkiem, od którego się daremnie pomocy żąda.

Tak lud nasz podczas ostatnich wyborów zadawał swoim posłom pytanie: kto zacz jesteś pod względem narodowym i społecznym. A gdy „Katolik“ światło swego statecznego rozumu politycznego ukrył w ostatniej chwili pod płaszcz Ballestremów i consortes, uniemożliwiając agitacyę przedwyborczą uświadomionym jednostkom, tysiące głosów oddanych socyalistom głośno świadczyły o tem, co lud sądzi o narodowych, politycznych i społecznych poglądach Katolikowsko-Ballestremowskich. — —

Dziś „Katolik“ majaczy coś ogólnikowo o zapatrywaniach społecznych i ekonomicznych.

My jako narodowcy właśnie wciągamy w zakres naszego programu całe nasze życie społeczne, a więc i gospodarcze. Dziwnem jest tylko, skąd „Katolik“ naraz staje się tak „społecznym i ekonomicznym“, gdyż dotychczas żądania swe pod tym względem tak sprytnie umiał ukrywać na zebraniach przedwyborczych. Polecał i agitował dotąd za posłami, którzy pod względem społecznym mają chyba trochę odmienne zapatrywania od niego. Lecz kto to może wiedzieć, gdyż „Katolik“ poglądów owych społecznych i ekonomicznych bliżej jakoś nie określa, a trudno przypuszczać, sądząc z praktyk jego w związku wzajemnej pomocy, żeby się zupełnie tak samo miał zapatrywać na sprawy społeczne jak posłowie za jego pomocą wybrani: Ballestrem, Glowatzky itd.

Zachodzi tu jakaś sprzeczność lub przynajmniej niejasność, nie chcąc nazwać tego umyślnem ukrywaniem zasad politycznych. Możeby „Katolik“ tak nam jak i swoim czytelnikom chciał sprawę tę bliżej objaśnić.

II.

„Katolik“ uważa za konieczność przy obecnym stanie rzeczy na G. Śląsku, aby G. Śląsk pozostał przy partyi centrowej jak dotąd.

Wymaga tego zdaniem „Katolika“ dobro sprawy katolickiej. Wybór polskich posłów bowiem na G. Śląsku wywołałby rozbrat pomiędzy katolikami w Niemczech, z którego skorzystałby tylko luterski rząd pruski i nieprzyjaciele kościoła katolickiego.

Na to my odpowiadamy tak: Wychodząc z zasady, że w przemysłowych obwodach naszych lud jest dostatecznie narodowo uświadomiony i politycznie dojrzały, że my dla żadnej sprawy nie mamy prawa robić ofiar z naszych postulatów narodowych, pytamy się, jakiem prawem my właśnie Polacy mamy ustępować kilka mandatów Niemcom i co oni za to w zamian nam dają?

Właśnie wybory na Śląsku mają być probierzem katolickiego charakteru centrum, o którym nietylko my, ale i całe społeczeństwo polskie ma wszelkie prawo wątpić. Tak jak centrowcy postępują z nami na Śląsku, tak jak postępują z nami w Westfalii i Nadrenii, tak jak nas bronią w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, nie świadczy wcale o tem, żeby byli stronnictwem czysto katolickiem. Gdyby centrowcy byli prawdziwymi katolikami, dla dobra sprawy katolickiej, nie żądaliby od nas ofiar, lecz dla samych zasad katolickich oddaliby nam to, co nam się słusznie należy i szliby z nami zgodnie ręka w rękę. Jeżeliby przez wybór polskich posłów na G. Śląsku sprawa katolicka miała ucierpieć, nie będzie to wtedy naszą winą, lecz winą centrum, które bez względu na swój charakter katolicki staje się coraz bardziej rządowem i szowinistyczno-niemieckiem. Czyż „Katolik“ sądzi, że my Polacy mamy być rządowymi i utożsamiać nasze cele z dążeniami najzaciętszych wrogów żywiołu polskiego? Dalej zdaniem „Katolika“ sprawa polska pod zaborem pruskim domaga się pozostania Górn. Śląska przy centrum. Któżby nas bronił, gdyby centrum nas opuściło? Coby się z nami stało, gdyby niemieckie gazety katolickie za nami się nie ujmowały?

Na to tylko odpowiedzieć możemy wskazując na doświadczenia nasze z ostatnich czasów. Verkommenes Volk! (naród zniszczemniały), Minderwertige Katholiken („mniejwartościowi“ katolicy), aufs Maul schlagen (Polaków bić po pysku) i tem podobnemi wynurzaniami centrowców o nas Polakach.

Natomiast obrony *nic* nieznaczącej, jaką nam centrum wyświadczyło, doznaliśmy także od socyalistów niemieckich, nawet od niemieckiego stronnictwa ludowego (Deutsche Volkspartei) i od wolnomyślnego stronnictwa ludowego. A jak centrum broniło sprawy robotniczej?

„Katolik,“ chcąc być uczciwym, powinien wyznać, że właśnie petycye kierowanego przez niego związku wzajemnej pomocy w sprawie robotniczej nie znalazły poparcia u jego przyjaciół centrowych, lecz że na wieczystą hańbę tak centrum jak „Katolika“ podjęte one były przez socyalistów niemieckich.

A idealna ta obrona nic a nic nas nie kosztowała.

Tem samem prawem, jak „Katolik“ straszy społeczeństwo polskie ewentualną wrogą nam konstelacyą stronnictw w parlamencie, tem samem prawem my możemy społeczeństwo pocieszyć tem, że centrum właśnie dla swych zasad nie może przejść na stronę tych Niemców, którzy jawnie na swoim sztandarze wypisali hasło: Ausrotten.

Centrum i tak już dziś z biedą łagodzi i wyrównuje różnice zapatrywań społecznych i ekonomicznych swych zwolenników, grożące mu bez ustanku rozłamem. Niech centrum jeszcze wywoła w swem łonie różnice zasadnicze, niech wystawi na szwank kardynalne swe hasła przez zaborcze swe zapędy względem nas Polaków, a wtedy spotkać może go nieszczęście oddawna mu przepowiadane. t. j. rozpadnięcie się.

Dalej twierdzi „Katolik,“ że „przeważnym i wielkim jest wpływ duchowieństwa na G. Śląsku“, że wszyscy księża są za centrum i że tę sprawiedliwość oddać im trzeba, że z inteligencyi rodzimej oni jedni poczuwają się do wspólności z ludem polskim i do pracy nad ludem?!

Że wpływ duchowieństwa jest wielki, nie przeczymy. Lecz, że „Katolik“ przecenia wpływ duchowieństwa niemieckiego w obwodzie przemysłowym, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Najlepszym dowodem tego w ostatnich czasach jest dzielne postawienie się ludu w sprawie połączenia naszych związków z katolickim „Verbandem.“

Ostatnie zaś twierdzenie „Katolika,“ jakoby duchowieństwo górnośląskie poczuwało się do wspólności z ludem polskim i pracy nad ludem, *jest haniebnem kłamstwem i wstrętną spekulacyą polityczną.* Z wyjątkiem garstki księży, których na palcach policzyć można, całe duchowieństwo jest niemieckie, *wrogo dla sprawy ludowej usposobione, wrogo usposobione do wszystkiego, co polskie.*

Gdzie okazuje się zresztą to ich poczucie wspólności z ludem?

Czy używają oni tego samego języka co lud?

A jak go używają, czy każdy Polak się nie oburza na ten ich żargon niemiecko-żydowski? Takie on bowiem robi wrażenie.

A przecież świętym jest obowiązkiem kapłana władać językiem swoich owieczek.

Czy ci germanizatorzy w szacie duchownej chodzą do towarzystw polskich i pielęgnują nasze ideały narodowe, jak to jest w Wielkopolsce zwyczajem?

Czy zobaczysz ich w związku wzajemnej pomocy?

Czy popierają oni dążności naszego ludu roboczego do poprawienia bytu materyalnego?

Nie, nie! nic podobnego się nie dzieje. Nigdzie ich tam, gdzie lud walczy o swe ideały narodowe i o swój dobrobyt nie zobaczysz, ale za to słyszysz wieczne przestrogi przed agitatorami wielkopolskimi, a w kościołach kazania wygłaszane robotnikom na temat:

„Róbcie, *co wam każą*, a bierzcie, *co wam dają.*

„Katolik“ świadomie okłamuje lud nasz i społeczeństwo polskie celem pozyskania duchowieństwa w zapowiedzianej przez niego walce z ruchem narodowym na Śląsku.

Na dowód wystarczy przeczytać rocznik „Katolika“, aby o tem się przekonać.

„Katolik“ sam przez szereg lat zwalczał przewodnictwo niemieckich księży w sprawach publicznych, sam doskonale wie o tem, że oni na sprawy narodowe, ekonomiczne i społeczne ludu naszego są obojętni, *ba w znacznej części nawet wrogo usposobieni.*

Szkoda, że do podpisania odezwy dowodzącej „statecznego rozumu“ politycznego „Katolika“ nie zawezwano jeszcze redaktora „Gazety katolickiej,“ wydawanej przez księży-germanizatorów dla zabicia ducha polskiego na Śląsku...

Dalej straszy „Katolik“ lud nasz grożącemi mu prześladowaniami ze strony pracodawców, gdyby głosował za posłami polskimi.

Jestto także haniebny manewr polityczny zasługujący na publiczne napiętnowanie. — Lud nasz podczas walki kulturnej poniósł ogromne ofiary dla sprawy katolickiej, a nie zawahał się stanąć śmiało po stronie dobrej sprawy. — Sprawa narodowa dla nas jest również ważną, jak sprawa katolicka i godną ofiar podobnych. Bo dopóki lud nasz polski, dopóty katolicki! Nadto wybory do parlamentu nie stanowią żadnego niebezpieczeństwa, gdyż wybory są tajne. Jeżeliby zaś lud nasz rzeczywiście poniósł materyalne straty dla sprawy narodowej, zawdzięczać to będzie jedynie „Katolikowi“, który w swej zarozumiałości i fatalnej żądzy przodownictwa i materyalnego zysku — zrywa solidarność narodową.

Dalej „Katolik“ twierdzi, że „takie jest centrum, jakie sobie sami wyborcy z własnej woli wybrali, takie będzie centrum za półtora roku, jakie sobie wyborcy wybiorą.“

Postawienie podobnego postulatu — jest demagogicznem bałamuceniem opinii

publicznej. Bo cóż znaczy pięciu lub sześciu posłów „Katolika“ w morzu centrowem?

Pod koniec zostawia sobie „Katolik“ furtkę, aby się w razie ewentualnego fiaska swej polityki, uniewinnić tak w oczach centrum jak i w oczach społeczeństwa polskiego.

Wróble na dachu świergocą, iż „Katolik“ jest z centrum tak związany, że musi zaprzedawać sprawę ludu polskiego, aby dotrzymać centrum swoje przyrzeczenia.

To co „Katolik“ nazywa skokiem, my nazywamy sposobem naturalnym, wynikającym z wewnętrznej potrzeby, powstałej skutkiem dojrzałości ludu.“

Właśnie polityka „*Katolika*“ jest polityką rozpaczy, cofającą sprawę polską na G. Śląsku o 20 lat wstecz. My chcemy życia i dążymy do nowych zdobyczy narodowych.

Gdyby „Katolikowi chodziło szczerze o sprawę ludu polskiego byłby zaczekał na dalszy rozwój ruchu narodowego i wypowiedział się w chwili odpowiedniejszej, bez czynienia zamieszania w społeczeństwie polskiem, bez napaści osobistych, podyktowanych jedynie przez względy konkurencyjne.

Zapowiedział nam „Katolik,“ że znajdziemy go „na wszystkich naszych drogach agitacyi czynnej na posterunku.“ Zgoda! bardzo nas to cieszy i mamy mocne przekonanie, że w decydującej chwili porzuci on nierządną swą politykę i wejdzie w związek z polityką prawdziwie polską, prawdziwie narodową, której płodem będzie nie bękart, lecz dziecko z krwi i kości polskie.

Górnoślązak.

Niemczenie
przez
księży-giermanizatorów.

Ciężkie znowu nastały czasy dla towarzystw polskich na Górnym Śląsku. Wiadomo wszystkim, że przed paru laty na rozkaz kardynała Koppa rozwiązano wszystkie niemal towarzystwa św. Alojzego, na których czele stali księża. Ostało się z owych czasów kilka towarzystw, w których do dnia dzisiajszego wodzą rej księżagiermanizatorzy. Kardynał Kopp postanowił widocznie towarzystwa te zgiermanizować i księża prezesowie starają się wszelkimi sposobami spełnić jego zachcianki giermanizatorskie.

Droga, która ich ma doprowadzić do celu upragnionego, na pozór jest bardzo niewinna.

Księża-giermanizatorzy żądają, aby towarzystwa nasze przyłączyły się do związku kat. robotników niemieckich. Tam bowiem czekają ich członków niesłychane korzyści. Za drobną opłatą będą mieli dobrze płacącą kasę pogrzebową, biuro porady prawnej i bezpłatnie gazetę pod tytułem „Robotnik“.

Zamilczają jednakże przy polecaniu niemieckiego „Verbandu“, że tenże w latach ubiegłych stale miał w kasie niedobór, że dochody jego zaledwie wystarczyły dotąd na pokrycie kosztów potrzebnych na wydawanie gazety.

Z dumą zaznaczamy, że robotnicy nasi z wyjątkiem Król. Huty poznali się na farbowanych lisach, wszędzie księżom-giermanizatorom dzielnie stawili opór i do „Verbandu“ nie przystąpili. Byliśmy niedawno świadkami machinacyi księży na walnem zebraniu towarzystwa katolickich robotników w Katowicach.

Przy bardzo licznym udziale członków ks. Globisch zagaił posiedzenie i przystąpił natychmiast do rzeczy.

Rozwodził się nad korzyściami, jakie członkowie będą mieli, przystępując do „Verbandu“. Wspomniał także o tem, iż członkowie będą otrzymywali bezpłatnie gazetkę p. t. „Robotnik“, lecz ani słowem się nie zdradził, że gazetka ta jest *niemiecka,* tak że każdy musiał mieć wrażenie, że chodzi o pisemko polskie. Wyprowadził nas z tego błędu dopiero ks. dziekan Schmidt, który obiecał, że *z czasem* będzie wychodzić także pisemko polskie.

Przystąpiono następnie do dyskusyi. Zastępca przewodniczącego p. Furman *zachęcał do połączenia się z Niemcami.* Dlaczego tak czynił, wszystkim obecnym było dość jasno, gdyż nie dawno temu zrobiono go kościelnym przy nowym kościele.

Reszta mówców zaś najprzód skromnie i bojaźliwie, potem coraz otwarciej i energiczniej oświadczała się przeciw przystąpieniu do związku, motywując swoje stanowisko tem, że Polacy powinni sami radzić o sobie, że od Niemców nigdy pomocy spodziewać się nie mogą. Wszystkie przemówienia były na nutę: „*Jak świat światem, Niemiec nigdy nie będzie Polakowi bratem.*“

Niektórzy z mówców wyraźnie zaznaczyli, iż od księży-giermanizatorów pomocy spodziewać się nie mogą, iż chodzi tu o stworzenie przedziału pomiędzy polskimi robotnikami Górnego Sląska i o osłabienie naszego związku wzajemnej pomocy.

Gdy jeden z mówców wykazał danemi statystycznemi fatalne położenie finansowe „Verbandu“, ksiądz Globisch posądził go o kłamstwo i oszczerstwo; dość prosty to sposób zbijania przeciwnika! Za niegrzeczność tę członkowie wynagrodzili mówcę hucznemi oklaskami.

Daremne były usiłowania dziekana Schmidta i ks. Globischa. Po wszystkich ich przemówieniach, w których w haniebny sposób kaleczyli nasz język ojczysty, panowała grobowa cisza, wyrażająca głębokie niezadowolenie ludu.

Gdy czcigodni giermanizatorzy widzieli, iż nie dopną upragnionego celu, wbrew wszelkim prawom i zwyczajom rozwiązali zebranie, jako powód dając to, iż na niem goście byli obecni, których posądzali o podburzenie członków.

Wobec inteligencyi polskiej na sali będącej zarówno ks. Globisz jak i dziekan Schmidt okazali się w najwyższym stopniu niegrzecznymi.

Dla charakterystyki ks. Globischa dodajemy, iż za swych czasów akademickich należał do towarzystwa polskiego, gdzie wyśpiewywał całem gardłem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ A dziś?

Wytęża wszystkie swe siły celem zgiermanizowania ludu naszego.

Przed następnem walnem zebraniem odbędzie się generalna spowiedź dla wszystkich członków.

Kochani Rodacy! Chybaście wszyscy dobrze zrozumieli, o co idzie naszym księżom giermanizatorom.

My nie potrzebujemy żadnych Verbandów. Polacy pod zaborem pruskim są dość liczni i dość silni,

że się sami obronić potrafią. Mamy na Śląsku nasz związek wzajemnej pomocy. Agitujmy za nim, ile nam siły starczą.

A wtedy będzie nam lepiej.

Zbliżają się wybory, a księża germanizatorzy widząc niezadowolenie nasze z postępowania centrowców i chęć naszą wybrać swych własnych rodaków na posłów, starają się usidlić nas różnymi Verbandami *i jak bydło poprowadzić do urny wyborczej*.

Oto ich cel ukryty.

Nie dajmy się omamić! Wytrwajmy dzielnie i pokażmy światu, żeśmy politycznie dojrzeli, że nie potrzebujemy żadnych niepowołanych opiekunów. *My z centrum nie chcemy wojny*, ale chcemy odebrać to, co nam się słusznie należy. *Polscy wyborcy niech wybierają polskich posłów, którzy razem z braćmi z Księstwa Poznańskiego i Prus będą bronić naszej narodowości.* W sprawach religijnych posłowie nasi, należąc do Koła polskiego, pójdą ręka w rękę z centrum. Jeżeli centrum prawdziwie broni prawa, wolności i sprawiedliwości, to nam przyznać musi, że po naszej stronie słuszność.

Nie dajmy się! Brońmy się!

Przystępujmy do związku wzajemnej pomocy!

Staropolanin.

Z własnej winy.

Historycy, którzy za jakie sto lub więcej lat badać będą dzieje narodu naszego w epoce bieżącej, skonstatują niezawodnie jako jednę z głównych przyczyn obecnej niedoli naszej tę dziwną okoliczność, że mimo wielokrotnych bardzo smutnych doświadczeń i zawodów, zawsze grzeszyliśmy zbytnią dobrodusznością wobec innych, — że z jednej strony — bardzo już poparzonemi rękoma zawsze na nowo wyciągaliśmy dla tych innych gorące kasztany z ognia, a z drugiej posiadaliśmy przedziwny talent „wywoływania wilka z lasu“ czyli ściągania samochcąc coraz to nowych ciosów na własne tylekrotnie osmagane plecy. Dwie te — w polityce wprost zgubne wady, naraziły nas już na tyle przejść arcyniebezpiecznych, iż rzeczywiście jedynie dziwnej łasce Opatrzności zawdzięczać musimy, że wyszliśmy z nich chociaż poszczerbieni mocno, ale zawsze jeszcze z życiem i z siłą do nowej, dalszej walki.

Dobroduszność nasza zaznaczyła się mianowicie dziwnymi wprost objawami w stosunku naszym do Centrum — a talent, „wywoływania wilka z lasu“ — w stosunku do Niemców katolików w naszych dzielnicach.

Kwestya germanizacyi kościołów naszych przez Niemców katolików, stała się w ostatnim czasie wprost groźna. Mamy wprawdzie szczere zaufanie do naszej Władzy duchownej, że uroszczeniom naszych „współwyznawców“ niemieckich stanowczo położy tamę. Mimo to — zapewne na długo jeszcze kwestya ta drażnić i niepokoić będzie całe społeczeństwo nasze. Znamy przecież aż nadto dobrze wytrwałość niemiecką w dążeniu do z góry wytkniętych celów. Ofiarą tej kwestyi padło już kilku kapłanów — a ofiar takich — prawdopodobnie będzie więcej. Sam fakt zaś, że uroszczenia Niemców katolików narażają władze duchowne na rozliczne przykrości i trudności, jest dla szczerze katolickiego ogółu naszego nad wyraz bolesnym.

Niestety nie można społeczeństwu naszemu szczędzić zarzutu, iż samo kwestyą tę wywołało. Przez blizko lat 30, od początku walki kulturnej cieszyli się Niemcy katolicy u nas wielką życzliwością. Walka ta zagrażająca zarówno religijnym interesom polskich i niemieckich katolików, zbliżyła ich do siebie. Niemieckie katolickie Centrum, zaliczone przez Bismarcka do „wrogów państwa“ („Reichsfeinde“) odwzajemniało mu się za to dość rozległem popieraniem interesów ludności polskiej. Skłaniały je do tego inne jeszcze względy, a mianowicie zasady programowe, żądające dla wszystkich obywateli państwa równej wolności i sprawiedliwości, chęć pomnożenia swych sił skupieniem wszelkich odłamów opozycyi, o ile to było możliwe; wreszcie wzgląd na Ślązk polski itd. Centrum mimo to było zawsze i pozostało do dziś stronnictwem na wskroś niemieckiem, dbałem bardzo o całość i dobro ojczyzny niemieckiej.

To też nigdy w popieraniu specyalnych spraw polskich nie przekraczało granicy, wskazanej mu faktycznymi lub urojonymi interesami państwa pruskiego i rzeszy niemieckiej. Opuszczeni przez wszystkich i podwójnie bici — Polacy nie brali jednakże tej życzliwości centrowej pod skalpel chłodnej rozwagi, lecz za taktyczną pomoc odpłacali stronnictwu całem sercem, prawdziwie polską serdecznością, uważając wszelkie rozumowanie na ten temat za grzech niemal, co najmniej zaś za wielką nieprzyzwoitość.

W ślad za Kołem polskiem w sejmie i parlamencie — całe społeczeństwo nasze wysilało się formalnie na coraz to nowe sposoby okazywania Niemcom katolikom najszczerszej wdzięczności. O tem, że czasy i stosunki, a wraz z nimi także ludzie zmienić się mogą, nie myślano wcale, nie chciano myśleć.

Nie dawne to jeszcze czasy, gdy np. niektóre pisma poznańskie i zachodnio-pruskie porówno zupełnie traktowały sprawy niemieckich i polskich katolików. W redakcyach abonowano stale tak zw. „Korespondencye centrowe,“ dotyczące przeważnie spraw i krzywd niemieckich katolików na Zachodzie, i zamieszczając je w dosłownym przekładzie — karmiono niemi polskich swych czytelników, pomijając na ich korzyść niejedną ważną sprawę domową. Cóż więc dziwnego, że ogół nawykł powoli uważać Niemców katolików, jeżeli już nie za rodzonych, to przynajmniej za „przyrodnich braci“, synów jednej matki, a jedynie różnych ojców.

Poszło zatem, że przyznawano im nawet w domu te same prawa, jakie wyłącznie należały się Polakom. Pominąwszy już to, że wielu polskich chlebodawców, zwłaszcza wśród ziemian chętnie przyjmowało niemiecko-katolickich oficyalistów — otaczano tych nowych „braci przyrodnich“ najczulszą opieką w sprawach publicznych. Gdzie tylko polscy reprezentanci w ciałach autonomicznych, w sejmikach, radach gminnych itd., posiadali jakiekolwiek wpływy, a ze względu na opór rządu nie mogli na wakujące posady i urzędy publiczne przeforsować Polaków — tam z niezwykłą u nas energią popierali kandydatów niemiecko-katolickich. Jeżeli już nauczycielem lub urzędnikiem — mawiano — nie może być Polak, to powinien nim być Niemiec katolik, ze względu na katolicką większość ludności.

Nie wszędzie się to udawało, gdyż rząd pruski za czasów Bismarka nie dowierzał Niemcom katolikom, obawiał się przytem, że otoczeni polskimi współwyznawcami łatwo się spolszczą; mimo to, dzięki takiemu poparciu Polaków liczba Niemców katolików w Księstwie wzrastała z każdym rokiem.

Na nieszczęście — byli to przeważnie karyerowicze, którzy jedynie dla pozyskania poparcia polskiego wysuwali na pierwszy plan swój katolicyzm. Wgruncie rzeczy o wiarę i Kościół mało dbali, to też usadowiwszy się silnie na danem stanowisku szli ręka w rękę z protestanckimi kolegami, a Polaków zbywali tamże uprzejmością. Ale nawet i ci, którzy odznaczali się większą reli-

gijnością, pozostali na wewnątrz „dobrymi Niemcami“ i — z małymi wyjątkami — interesy niemczyzny stawiali ponad interes i dobro kościoła.

Co się potem stało — wiemy wszyscy, mimo to przypominamy to w krótkości dla użytku Czytelników naszych.

Z upadkiem Bismarka wewnętrzne stosunki w Niemczczech niemałej uległy zmianie. Następcy żelaznego księcia przestali uważać centrowców za „Reichsfeinde,“ wrogów państwa — przeciwnie, zaczęli wprost kokietować ją pod potężnem teraz stronnictwem. Były chwile, w których Centrum odgrywało wprost rolę stronnictwa rządowego, a przynajmniej usilnie się o rolę taką starało. W ślad za tem rząd zaprzestał także usuwać, a raczej niedopuszczać Niemców katolików do urzędów. W lot też ci „przyrodni bracia Polaków“ odkryli w sobie patryotyczne serca niemieckie i otwarli je na rozcież dla skrajnych, ba! wprost szowinistycznych uczuć.

„Mądry Polak — po szkodzie!“ Niestety, powtarza się to tak często — że wątpić już niemal należy, czy pewna część społeczeństwa naszego kiedykolwiek będzie mądra przed szkodą.

I w tym wypadku za późno ot przekonaliśmy się, kogo to ogrzaliśmy i wyhodowaliśmy przy własnem ciepłem łonie....

Nie ulega wątpliwości, że kwestya germanizacyi polskich kościołów przez napływowych Niemców katolików byłaby i tak z czasem u nas powstała. „Hakata“ łamiąc sobie bezustannie głowę nad wynajdywaniem coraz to nowych środków i środeczków germanizacyjnych, byłaby niezawodnie i tak wpadła na myśl — jak potężnym taranem do zburzenia a raczej zgermanizowania kościołów naszych, do których protestancki szowinizm niema przystępu, mogą być Niemcy katolicy. Rząd zaś, stosujący się od lat kilku ściśle do rad i wskazówek przywódzców hakaty, byłby ich i w tym wypadku usłuchał i coraz więcej *„przyrodnich braci naszych“* nasyłał do dzielnic polskich. Ale nie byłoby ich jeszcze tylu, ilu ich jest już dzięki wykazanej przez nas na wstępie dobroduszności naszej — no i kwestya sama nie byłaby wskutek tego tak piekąca, jaką jest dzisiaj.

A dlaczego właśnie dziś w tej sprawie głos zabieramy? Oto z tej przyczyny, ponieważ znów jakieś niewyraźne, a mimo to bardzo pociągające dźwięki syrenie, zaczynają mamić pewne koła społeczeństwa naszego.

Opowiadają sobie — a nawet piszą do gazet galicyjskich, że Centrum zaczyna się *nawracać*, że nurtujące w niem prądy antypolskie napotykają na coraz ostrzejszy opór żywiołów „sprawiedliwszych“ i w sprawach polskich „bezstronniejszych“, że ks. kardynał Kopp uczy się po polsku (!) itd. itd. Wiemy z doświadczenia, jak wielki wpływ takie pogłoski wywierają na dobroduszność naszą.

Mamy tak dobre serce, że nigdy w polityce nie umiemy rozróżnić prawdy od fałszu — zwłaszcza w razach, gdzie fałsz jest dla nas przyjemniejszym od prawdy, że gotowiśmy uściskać najsroższego wroga naszego, skoro tylko poda nam pierwszy rękę i powie grzecznie: „No! zgódźmy się!“ Więc i w tym wypadku obawiamy się, że te syrenie głosy mogłyby nieco przytłumić naszą czujność i baczność, a zarazem sprowadzić nas z drogi, na którą pod presyą stosunków nareszcie wstąpiliśmy — i dlatego przypominamy tu smutny zawód, jaki nam sprawili nasi „przyrodni bracia!“

Bądźmy raz wreszcie sobą i przestańmy się oglądać na obcą życzliwość i pomoc. Jeśli centrum szczerze zmieni swe zapatrywania i postępowanie w sprawach polskich — tem lepiej; będzie to dowodem, że jest stronnictwem szczerze katolickiem i że poczuwa się do wielkiego długu, jaki u nas zaciągnęło, choćby tylko przez czerpanie *wielkiego zasobu przez lat 30 sił politycznych z polskiego Śląska.* Jest to dług tak wielki, iż nawet najusilniejsze popieranie naszych żądań będzie tylko małą częściową upłatą. Możemy skwitować upłatę tę „z podziękowaniem“ jak kupiec upłatę rachunku, ale nie możemy znów za nią *płacić* — nowemi ustępstwami. Możemy się szczerze cieszyć, jeśli Jego Eminencya ks. kardynał Kopp nauczy się po polsku, będzie to wielkiem dobrodziejstwem dla sprawy katolickiej — ale na nasze sprawy narodowe nie może to wywrzeć wpływu. W tych sprawach strzedz musimy bacznie jedynie żywotnych interesów naszych, stać murem przy naszej władzy duchownej w obronie świątyń naszych — a dalej spokojnie i rozważnie, ale bez wahania — prowadzić dzieło *politycznego* odzyskania Śląska, gdyż to stokroć więcej zaważy na szali losów naszych, niż wszelkie względy i życzliwość *niemieckiego* stronnictwa Centrum.

Pamiętajmy zawsze, na każdym kroku — cośmy stracili i na cośmy się już tylokrotnie narazili z *własnej winy* i bądźmy nareszcie mądrzy — *przed szkodą!*

—ski.

Sprawa robotnicza
a
sprawa narodowa.

Z ostatnich dziesiątków dziejów narodu polskiego widzimy, że ogromna przemiana nastąpiła w układzie społeczeństwa polskiego. Gdy przed kilkadziesiąt lat jeszcze byliśmy społeczeństwem nieomal wyłącznie rolniczem, dziś setki tysięcy rodaków naszych opuściły ziemię ojczystą i szukają zarobku po miastach i w środowiskach wielkiego przemysłu.

Pierwsze miejsce pod tym względem zajmuje Górny Śląsk, gdzie na małej stosunkowo przestrzeni około 100,000 rodaków naszych wyżywia siebie i rodziny swoje pracą w kopalniach, hutach itd.

Spojrzyjmy dalej na przemysłowy okręg westfalsko-nadreński, na większe miasta niemieckie, wszędzie spotkamy mniej lub więcej liczne masy polskiego ludu pracującego.

Księstwo poznańskie i Prusy nie stanowią pod tym względem wyjątku, albowiem i tu przemysł się rozwinął w ostatnich czasach a z rozwojem jego coraz głośniej odzywa się lud roboczy w swojej sprawie do społeczeństwa naszego.

O dokonanem już nieomal uprzemysłowieniu Królestwa Polskiego i o dążnościach w tym kierunku Galicyi rozwodzić się na tem miejscu nie mamy potrzeby.

Stwierdzamy tylko fakt, że dziś w całej Polsce sprawa robotnicza stała się palącą, że społeczeństwo nasze stoi przed nowem i trudnem zadaniem: sprawą robotniczą, o którą się powiększył zakres naszej polityki narodowej.

W pracy naszej nad polepszeniem doli naszego ludu pracującego przedewszystkiem nie powinniśmy spuszczać z oka, że sprawa ludu pracującego dla nas powinna być sprawą narodową.

Jako naród, chcący się rozwijać i żyć, jako naród, mający do spełnienia ogromne zadanie w przyszłości, powinniśmy przedewszystkiem dbać o to, aby żadna część społeczeństwa naszego nie była upośledzoną i wyzyskiwaną.

Szczególniej powinno się to dziać dzisiaj, gdy wszystkie warstwy narodu naszego stają w obronie uciśnionej Ojczyzny naszej, gdy zarówno robotnik, jak rolnik, ksiądz i szlachcic stają zgodnie w jednych szeregach do walki z napierającymi Niemcami. Wobec gwałtownych ataków niemieckich wszyscy bez różnicy stanu i pochodzenia mamy święty obowiązek pracować nad wyrównaniem przepaści dzielących lud pracujący od jego pracodawców polskich i nad

złagodzeniem istniejącej bądź co bądź walki klas.

Ojczyzna nasza, przez wściekłe napaści hakatystów różnego pokroju zagrożona, wzywa dziś wszystkie swe dzieci do walki obronnej, a więc i was bracia robotnicy.

Nie pozostaliście też dotąd głuchymi na jej wołanie, lecz w zgodzie z innemi warstwami naszego narodu stanęliście w jej obronie i dzielnie odpieracie napaści niemieckie.

Sprawa narodowa domaga się, aby naród nasz składał się z jednostek zdrowych na ciele i duszy, bo tylko ludzie zdrowi mogą wywalczyć ostateczne zwycięztwo.

Sprawa narodowa domaga się, aby robotnicy rozszerzali swój widnokrąg umysłowy, aby się kształcili i rozwijali umysłowo.

Sprawa narodowa domaga się, aby robotnicy kształcili swe dzieci na dzielnych obywateli polskich.

Sprawa narodowa domaga się, aby robotnicy strzegli praw nadanych nam przez konstytucyę, aby zwalczali wszelkie nadużycia pod tym względem przez Niemców popełniane.

Sprawa narodowa domaga się, aby i robotnicy z wytężeniem wszystkich sił swoich bronili naszych praw w kościele katolickim, z którego niektórzy niemieccy księża i niemieccy katolicy chcą zrobić instytucyę germanizacyjną.

Wreszcie sprawa narodowa domaga się, aby i robotnicy jak najwięcej przyczyniali się do sparaliżowania zabiegów niemieckich celem zrujnowania nas materyalnie.

Socyaliści, (pomijamy na razie ich walkę z kościołem i wiarą świętą), którzy w ostatnim czasie zabrali się energiczniej do wszczepiania swych haseł ludowi polskiemu, twierdzą, że sprawa robotnicza jest sprawą międzynarodową, że robotnicy wszystkich krajów mają wspólne interesy.

Twierdzenie to nie zgadza się z rzeczywistością, a ci, którzy je głoszą, albo są ślepi i głusi, albo też kłamią świadomie.

Bardzo trafnie wykazało jedno z narodowych pism naszych socyalistyczne brednie o międzynarodowej solidarności w następujący sposób:

„Kiedy przed 60 laty rzucono po raz pierwszy okrzyk: „proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!“ można było jeszcze żywić złudzenia co do tak rozumianej solidarności. Wyobrażano sobie wówczas stosunki dość dziecinnie. Sądzono, że los robotników przemysłowych stale się będzie pogarszał, ale że niebawem, lada dzień, za jakieś parę, lub kilka lat najdalej, wybuchnie wielka rewolucya, która ogarnie świat cały i za jednym zamachem wprowadzi w życie wymarzony ustrój, który usunie raz na zawsze wszelką nędzę materyalną z dziejów ludzkości. Z tego poglądu wynikało, że jedynem zadaniem dzisiejszem jest łączenie się proletaryuszów wszystkich krajów, przygotowywanie się do owej wielkiej rewolucyi. Po upływie lat kilkunastu, zawiązano nawet Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników, na którego czele stał Karol Marks. Stowarzyszenie to istniało zaledwie kilka lat i upadło dla braku prawdziwej roboty wspólnej, a obfitości natomiast osobistych kłótni i nienawiści. Od tego czasu upłynęło dużo lat i nikt się już nie kusi o założenie nowego stowarzyszenia tego rodzaju. Odbywają się wprawdzie zjazdy międzynarodowe związków robotniczych i socyalistyczne, ale nie wychodzą one poza obręb wymiany myśli, i przedstawiciele każdego kraju strzegą zazdrośnie zupełnej swej samodzielności.

„I rzecz to zupełnie naturalna, w ciągu ostatnich lat 60 można się było przecież wielu rzeczy nauczyć. Nikt już dziś nie wierzy w ową wielką rewolucyę, której termin odraczano kilkakrotnie i zawsze bezskutecznie. Ci sami nawet ludzie, którzy przed dziesięciu laty jeszcze bawili się w proroctwa rewolucyjne, powtarzają dziś z naciskiem, że wymarzonych ustrojów nie urzeczywistnia się za jednym zamachem, że powstają one powoli, drogą zmian stopniowych. Może wprawdzie wybuchnąć rewolucya tam, gdzie swobodny rozwój narodu jest krępowany i gdzie nie ma on prawa rządzenia samym sobą, ale będzie to rewolucya miejscowa, usuwająca przeszkodę postępu, nie zaś owa wielka rewolucya, co ogarnąć miała świat cały i za jednym zamachem urzeczywistnić wymarzony ustrój. W wielu zaś krajach, jak np. w Anglii i Szwajcaryi, gdzie każda zmiana, jeżeli tylko pozyska uznanie ogółu, urzeczywistniona być może na drodze legalnej, niepodobna przewidywać potrzeby i możliwości takich nawet rewolucyi miejscowych.

„Skoro jednak robotnicy polepszenie swego losu osięgnąć mają tylko na drodze zmian stopniowych, to w każdym kraju inne mają oni żądania i inne cele najbliższe stawiać sobie muszą, bo w każdym kraju inne są warunki. To też nie ma obecnie nawet haseł, któreby istotnie łączyły robotników wszystkich krajów. Np. głosowanie powszechne może być upragnioną reformą w krajach, w których robotnicy nie mają należytego udziału w wyborach do parlamentu, ale nie może budzić żadnego zapału ani tam, gdzie głosowanie takie istnieje, jak np. we Francyi lub Szwajcaryi, po części w Niemczech, ani tam znowu, gdzie żadnych wyborów niema i gdzie na pierwszy plan wysuwa się sprawa wyzwolenia z pod obcego i despotycznego panowania. Hasło dnia 8-godzinnego ma zupełnie określone i doniosłe znaczenie tam tylko, gdzie reforma podobna istotnie da się urzeczywistnić, albo w całych gałęziach przemysłu, albo przynajmniej w przedsięwzięciach państwowych, jak tego przykłady widzimy w Australii, Ameryce i Anglii. Natomiast w krajach, w których robotnicy nie mają żadnego wpływu na rząd, w których nie posiadają związków zawodowych, a więc nie mają ani żadnej możności świadomej oceny, jakiego właściwie skrócenia czasu roboczego domagać się mogą, ani najważniejszej broni w walce o takie skrócenie, tam hasło 8-godzinnego dnia nie jest niczem innem, jak pobożnem życzeniem, nie mającem poważniejszego znaczenia.

„Przez ciąg ostatnich lat kilkudziesięciu przekonano się także, że los robotników w krajach, postępujących na drodze rozwoju przemysłowego, bynajmniej się nie pogarsza. Przeciwnie, w całej Europie zachodniej klasa robotnicza poprawiła swój byt materyalny, zrobiła znaczne postępy na drodze oświaty, pozyskała większe znaczenie niż dawniej i bierze żywszy udział w życiu publicznem. W miarę jednak wzrostu tego udziału, w miarę coraz większego zapoznawania się z nieznanemi poprzednio stronami życia, klasa robotnicza nabierała coraz wyraźniejszego przekonania, że pomyślność jej w najściślejszej zależności pozostaje z losami całego narodu, i że niema takiej sprawy publicznej, takiej reformy wewnętrznej, lub umowy z państwami obcemi, którąby nie wpływała dodatnio lub ujemnie na własną klasy tej pomyślność i rozwój. Słowem, jednocześnie z rozproszeniem się złudzeń o wspólnej robocie międzynarodowej klasy robotniczej, rozszerzał się zakres spraw narodowych, w których klasa robotnicza bierze świadomy udział wraz z innemi warstwami swego narodu, i zakres spraw, w których interesy klasy robotniczej okazywały się solidarnymi z interesami całego narodu.

„W ciągu tych dziesięcioleci wykazały się też w całej pełni sprzeczności interesów i niechęci wzajemne robotników różnych krajów. Żadne frazesy nie przekonają robotników angielskich, że powstanie fabryk i klasy robotniczej w kraju, który dotąd zaopatrywali w wyroby przemysłowe, leży w ich interesie. Podobnie pomimo pięknych słówek o solidarności i braterstwie, robotnicy francuscy biją stale przy lada sposobności Włochów, widząc w nich współzawodników, gotowych podjąć się roboty za tańszą cenę, jakkolwiek dla tych nieszczęśliwych przybyszów, nie mogących znaleść zarobku w domu, praca we Francyi jest jedynym

ratunkiem od głodu. Robotnicy niemieccy również niechętnie widzą przybyszów z Polski i stawiali nawet żądanie, żeby do kopalń westfalskich przyjmowano tylko umiejących czytać i pisać po niemiecku.

„A socyaliści niemieccy? Któż częściej od nich głosi ideę solidarności, któż chętniej od nich głosuje na kongresie międzynarodowym za do niczego nie obowiązującą uchwałą o potrzebie niepodległości Polski dla dobra robotników całego świata?“

Uchwała taka nic nie kosztuje, do niczego nie zobowiązuje, a ułatwia robotę socyalistyczną celem rozbicia naszej solidarności uarodowej. W teoryi socyaliści deklamują o niepodległości Polski, w praktyce zaś nazywają naród polski narodem gałganów i dzielnie dopomagają Hakacie w tępieniu żywiołu polskiego. „Bischen Germanisation schadet nichts.“

Apostołowie socyalizmu rozgrzewają głowy naszemu ludowi fantastycznemi urojeniami o jakichś państwach socyalistycznych, w które dziś żaden rozsądny człowiek nie wierzy, i nie tylko przeszkadzają ludowi w jego usiłowaniach celem polepszenia bytu materyalnego, lecz co najgorsze, przez pogłębianie przepaści klasowych osłabiają siły naszego narodu, aby je marnotrawić dla celów nam obcych i bezpłodnych.

Międzynarodowa solidarność, jak ją głoszą socyaliści, jest kłamstwem, bo nasze cele zasadniczo się różnią od celów Niemców, Anglików, Francuzów itd.

Dlatego też robotnicy polscy nie pójdą za kłamliwem hasłem socyalistów: *„Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!“*, lecz natomiast, jak dotąd, ich hasłem będzie: *Robotnicy polscy*, łączcie się i to w imię naszej sprawy narodowej.“

Dr. Kazimierz Rakowski.

Na ugory!

Ku niemałemu zgorszeniu „Orędownika“, który jeszcze „Pobudki“ nie czytał, a już ją z góry za zdrożną i niebezpieczną uważa, nawet *„Gazeta Opolska,“ gdy była jeszcze sobą samą i nie poszła na służbę do „Katolika,“ uznała ją za „napisaną bardzo zajmująco, posiadającą niezaprzeczone zalety i dającą trafny pogląd na fakta historyczne i zaczątki odrodzenia Śląska oraz na germanizacyą, tamującą rozwój sprawy narodowej tamże“*. Pociechą natomiast w tem zgorszeniu jest dla „Orędownika“ fakt, że ta sama „Gazeta Opolska“ gniewa się, iż „Praca“ zatyka swe sztandary na roli, którą dawno już uprawiały pisma śląskie, i że radzi „Pracy iść na *ugory* śląskie i tam rozpocząć uprawę.

Pozostawiamy „Orędownikowi“ zarówno zgorszenie, jak i zadowolenie z tego odezwania się „Gazety Opolskiej“ — i tylko rozprawimy się z nią samą — z poważaniem i zyczliwością, na którą zupełnie zasługuje.

Przykro nam jedynie, że „Gazeta Opolska,“ dotąd tak sympatyczna, nagle zmieniła swe zapatrywauia, także wpada w ton *„geszefciarski“* „Orędownika“ i „Katolika“ i przypomina „Pracy“ — jakto pisma śląskie do niedawna ją polecały ludowi, a dziś „Praca“ za to zwraca się przeciwko nim!

Dziwnie to „przypominanie“ wygląda na łamach pisma, które zresztą dotąd dobrze pojmowało i wykonywało swe obowiązki względem sprawy publicznej i te obowiązki swoje wysuwało przy każdej sposobności.

Gdy chodzi o *dobro publiczne*, dobro wspólne — jakże można brać na wagę okoliczności tego rodzaju, o ile jedno pismo popierało drugie i polecało swym czytelnikom? Wygląda to w tym wypadku tak, jak gdyby „Gazeta Opolska“ czasu swego popierała i polecała „Pracę“ na Śląsku jedynie dla „osobistych“ korzyści, a nie czasem dlatego, iżby uważała czytanie „Pracy“ za pożyteczne dla ludu śląskiego. My przypuszczamy, że tylko ten ostatni wzgląd skłonił „Gazetę Opolską“ do polecania „Pracy“ w swoich łamach. Jeśli tedy dziś ta sama „Praca“ pragnie tylko w dalszym ciągu, a energiczniej jeszcze służyć ludowi śląskiemu — toć o to chyba „Gazeta Opolska“ gniewać się nie może.

A teraz co do *ugorów*. Czem jest *ugór?* Oto pozostawioną odłogiem, nieuprawną, zaniedbaną rolą. Po tak długiej działalności prasy polskiej na Śląsku trudno przypuścić, iżby tam znajdowały się jeszcze ziemie, okolice, zupełnie jej pługiem nietknięte. Jeśli zaś są takie okolice, to dowodziłoby to tylko, iż pługi prasy polskiej na Śląsku do uprawy *całej* roli nie wystarczają i że gwałtem potrzebna im pomocy z innych stron.

Są tam atoli inne jeszcze ugory. I najlepiej uprawna ziemia może się zmienić na ugór, gdy się jej później należycie nie uprawia. Dobrze była uprawiona ziemia około Bytomia, gdy w roku 1893 wyrósł na niej przy wyborach plon obfity w postaci wyboru majora Szmuli i ogólnego zapału ludu śląskiego dla obrony praw swoich i swej narodowości. Tak dobrze była uprawiona, że ledwie 2000 chwastów socyalistycznych znalazło się między dziesiątkami tysięcy kłosów polsko-katolickich.

W następnych tymczasem latach ziemię tę zaniedbano. Polskości na niej prawie że nie uprawiano, albo tylko leniwie. Ztąd też chwasty socyalno-demokratyczne tak się rozmożyły, że znalazło się ich nagle — przy wyborach w roku 1898 — aż 25000! dosłownie 25000 socyalno-demokratycznych głosów! A jedynie z tej przyczyny, że prasa śląska na tej bujnej niwie należycie nie uprawiała polskości! Spali przywódzcy i oto przyszedł nieprzyjaciel i tyle chwastów nasiał....

Na ten ugór wstępuje dziś „Praca“ wraz z „Pobudką“ i pragnie znów wyplenić chwasty i nasiać zdrowego ziarna polskiego. Zacna rola śląska nie powinna być ani niemiecka, ani socyalno-demokratyczna, lecz wyłącznie polska — a siewcy tamtejsi powinni się cieszyć z pomocy „Pracy“ w uprawie tej roli — a nie gniewać się o to na nią.

Wspólnemi siłami pracujmy dla wspólnej sprawy, dla dobra przyszłości, a chwasty znikną z naszej polskiej roli.

Ordon.

Prawo czy gwałt?

Odkąd społeczeństwa w celu samoobrony ustanowiły karę za winy i chwyciły za oręż i pobudowały więzienia, aby gwałtem odpowiedzieć na gwałt i uchronić się od jednostek niebezpiecznych, odtąd sili się rozum ludzki za oznaczeniem granicy między prawem a gwałtem. — „Prawo“ to poczucie sprawiedliwości, zrodzone w sercu narodów, — ideał, do którego dążymy, który osiągnąć pragniemy, ujmując tę odczutą sprawiedliwość w stałe, pisane zasady. Zasady te to martwe litery, mówić za siebie nie umiejące i nie umiejące się bronić wobec swawoli pierwszego lepszego wyuczonego dialektyka. Pojęcia, choćby najlepiej rozprowadzone i sformułowane, giętkie są jak obręcze gumowe i miękkie jak wosk. I można pozornie logiczną argumentacyą wywieść z tych pojęć — absurda — można wyargumentować słuszność rzeczy, których bezprawie bije w oczy, — można uzasadnić gwałt, — jeżeli się zapomni o żywem źródle sprawiedliwości, które ukryte bije w piersiach ludu, — jeżeli zagłuszymy sumienie i zdrowy rozsądek.

Każdy naród przechodzi kataklizmy, kiedy oficyalna sprawiedliwość, ubrana w peruki, birety i togi, traci łączność z poczuciem narodu. Znak to, że albo prawo stare się przeżyło, — i czas już na nową suknią dla ślepej bogini, dzierżącej wagę i miecz, — albo że stan, który uczyniono stróżem prawa, nie dorósł do wielkości powołania swego.

Świeżo stoimy pod wrażeniem Krosigk'owskiego skandalu. Prasa niemiecka często bez ogródki krytykuje i gani wyrok sądu wojennego. Pociesza się spoglądając z dumą na sądy cywilne.

Il y a des juges à Berlin (— są jeszcze sędziowie w Berlinie) — ale droga z Gniezna do Berlina daleka. — Prowadzi przez Poznań, gdzie panuje dumnie władza kolonizacyi i rozpanoszyło się tyle gazet hakatystycznych. A ludzie są ludźmi; — nawet serce, bijące pod czarną togą, szeroko obramowaną aksamitem ulega wrażeniom jak każde inne biedne serce ludzkie. Słyszysz raz zapominasz, słyszysz raz dziesiąty i setny i uwierzysz.

My mamy w pamięci wiele skandali à la Krosigk. Ostatnie wspomnienie to sprawa księdza Skórackiego. Rozdawał kapłan ten odbywający kolendę tegoroczną, obrazki święte. — I między innemi dał synowi gospodarskiemu, Franciszkowi Powale, obrazek Matki Boskiej z podpisem: „Boże zbaw Polskę.“ — Młodego Powałę zaciągnięto wkrótce do wojska. Tam odkrył podoficer u niego obrazek i — doniósł o fakcie tym natychmiast władzy przełożonej, która Powałę skazała na kilka dni aresztu, a księdza Skórackiego zadenuncyowała do prokuratora. Gnieźnieńska izba karna, z panem dyrektorem K. na czele, rozpatrywała sprawę i skazała oskarżonego księdza na 300 marek kary, albo 30 dni więzienia — za podburzanie do gwałtu na mocy słynnego § 130.

Biorąc sprawę nawet z czysto objektywnego prawniczego punktu widzenia, wyrazić trzeba najwyższe zdziwienie, jak w rozdaniu obrazków upatrywać można czynności, grożące zaburzeniem spokoju publicznego. Podług stałej interpretacyi § 130 oraz wyroków sądu rzeszy podlegają paragrafowi temu tylko czynności *publiczne* tj. oddziałające bezpośrednio na nieograniczoną liczbę ludzi. — Czyżby ks. Skóracki rozdawał swoje obrazki na polu, w kościele, na rynku lub ulicy? — O ile wiemy rozdał je w czterech zamkniętych ścianach mieszkania *jednej rodziny.*

Dalej podlegają paragrafowi 130 tylko takie *czynności publiczne*, które są zdolne spokój publiczny zaburzyć. — Dokonanie zaburzenia jest wprawdzie niekoniecznem, — jednakże wskutek rzeczonych publicznych czynności pewna część ludności musi się czuć zagrożoną. Zagrożone koła ludności uznać muszą możliwość blizką gwałtu, skierowanego przeciwko sobie. — Któż się w przypadku tym czuł zagrożonym? Może feldfebel ów, który znalazł obrazek Matki Boskiej w pugilaresie żołnierza.

W końcu czynności wyżej scharakteryzowane oddziaływać muszą podburzająco, muszą zagrzewać kogoś do gwałtu. — Obrazek Matki Boskiej, dany na kolendzie — jako środek podburzający do czynnego gwałtu i buntu! Wystarczy samo zestawienie tych pojęć.

Tak pod względem czysto prawniczym wyroku tego uzasadnić byśmy się nie podjęli. — Ze stanowiska zaś ogólno ludzkiego i zdrowego rozsądku niepojętym on jest dla naszego poczucia sprawiedliwości. — Jeden z najsławniejszych prawników powiedział, że mylnym jest wyrok i mylną dedukcya prawnicza, która niezrozumiałą jest dla wrodzonego poczucia prawa i etyki! Prezesie sądu, nie znamy wprawdzie ciebie, nie wiemy skądeś się wziął u nas, nie wiemy, jakie są tajniki serca twego, ale jeżeli czujesz jak my, jeżeli w piersiach twych bije serce, stworzone na podobieństwo naszego, toś pomylił się.

W końcu podać się czujemy zobowiązani do publicznej wiadomości, że rozprawy sądu nad zbrodnią księdza Skórackiego toczyły się z wykluczeniem publiczności. — Procedura karna nakazuje wyraźnie publiczność rozpraw i dozwala w wyjątkowych tylko razach jej wykluczenie: kiedy rozprawy obrażać mogą moralność, albo grożą zaburzeniem publicznego porządku. — Czyżby p. K. doprawdy miał przypuszczać, że jeden z tych dwóch względów uprawniał go w tym razie do wykluczenia publiczności?

Prawnik.

Z TYGODNIA.

Poznań, dnia 2-go listop. 1901.

I tydzień ubiegły nie obfitował we ważniejsze wypadki polityczne. Stosunki międzynarodowe układają się powoli tak, jak gdyby zanosiło się na długą — nieczystą niemal porę ogórkową, na czas spokoju i wypoczynku. Gdziekolwiek bowiem powstanie nowa jaka „kwestya“, która mogłaby zagrozić pokojowi, zaraz wszystkie rządy na wyścigi starają się załagodzić ją i załatwić zgodnie, aby nie wyłoniło się z niej groźniejsze jakie niebezpieczeństwo. Każde z państw utrzymuje pod bronią krociowe armie, lecz każde boi się wojny. Stosunki tak się bowiem ułożyły, iż starcie dwóch potęg mogłoby zalać płomieniem całą Europę, bo cały świat cywilizowany, i wywołać następstwa, których dziś nikt nawet przewidzieć nie zdoła.

A jednak pod tą pokojową powłoką tlą iskry wzajemnej niechęci, zazdrości, ba, wprost nienawiści, iskry, które za lada podmuchem w płomień zamienić się mogą.

Najgorzej na tym pozornym, sztucznym pokoju, na tej stosunkami ogólnymi wymuszonej chęci utrzymania zgody, wychodzą te małe i biedne ludy, które za słabe, aby głos ich mógł zaważyć w owym wspólnym koncercie — skazane są na łaskę lub niełaskę potężnych sąsiadów. Te wolno krzywdzić bezkarnie, bo nikt się za nimi ująć nie chce, z obawy podrażnienia groźnego ciemiężyciela i wywołania nowego zatargu. To też pokój dzisiejszy sprawia zupełnie wrażenie kartelu państw wielkich i potężnych, aby swobodnie mogły — każde w swoim zakresie, w swej „sferze interesów“ — gnębić i wyzyskiwać mniejsze i mniej w siły zasobne.

Pokazuje się to najwymowniej na nieszczęśliwym narodzie *Burów.* Cały świat przyznaje im słuszność i racyą we walce z Anglią; wszyscy podziwiają ich bohaterskie zapasy z przemocą angielską

żaden rząd atoli ująć się za nimi nie chce. Nigdy chyba — od rozbioru Polski — pogańska idea „siły przed prawem“ nie święciła brzydszych tryumfów, jak w tym wypadku. A jednak mały ten naród nie poddaje się smutnej swej doli, lecz z żelazną wytrwałością broni swego prawa do życia. Ostatnie wiadomości wykazują nawet, że mimo dwuletnich rozpaczliwych zapasów siła odporna Burów nie tylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie, znów się wzmaga.

Jakie pobudki i czynniki wpływają na to — trudno ztąd ocenić; według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa Anglia nie tak rychło dopnie celu swej polityki zaborczej w tych stronach, jeżli go wogóle dopiąć zdoła. Obaj osaczeni przez wojska angielskie wodzowie Burów: Botha i Delarey znów szczęśliwi zdołali się wydobyć z matni: znów po dawnemu zaczną dokuczać najezdzcom.

Ze stanowiska ogólno ludzkiego, ze stanowiska chrześcijańskiego bolesny to widok tych rozpaczliwych zapasów. Wielce atoli pouczający i dodający otuchę dla ludów, w podobnem jak Burowie znajdujących się położeniu. Widzimy oto, jak długo i jak skutecznie nawet mały naród opierać się może wielkiej potędze, dopóki nie straci wiary w ostateczny tryumf swej sprawy, a przedewszystkiem, jeżli posiada należyty zasób *wytrwałości*, tego w dzisiejszej twardej walce o byt zarówno jednostek jak i narodów *najważniejszego* warunku powodzenia.

W Ameryce północnej stracono ostatecznie mordercę Mac-Kinley'a, anarchistę Czolgosza. Akt egzekucyi zbrodniarza tego odsłonił znowu motywa, jakie głównie popychają tego rodzaju indywidua do zbrodniczych czynów. Dawno już, w podobnych wypadkach, stwierdzono, że jedną z głównych pobudek zbrodni jest chorobliwa *żądza rozgłosu*, a Czolgosz nowego na to dostarczył dowodu. W ostatniej jeszcze chwili, gdy stanął już przed krzesłem elektrycznem, zachciało mu się oto wypowiedzieć... *mowę!* Pragnął przedstawić w niej sam siebie jako męczennika idei, dobroczyńcę ludzkości i przynajmniej w kołach spaczonych umysłowo ludzi zdobyć sobie uznanie. Gdy zaś odmówiono mu tej „przyjemności“ — zdradzał wielkie zirytowanie i z mniejszą już pewnością siebie wszedł na rusztowanie. Znawcy natury ludzkiej dawno już też zalecali, ażeby procesy przeciwko tego rodzaju zbrodniarzom prowadzono o ile możności z wykluczeniem publiczności i przez to odebrano podsądnym możność pozowania na „bohaterów“. Kto wie, może by to rzeczywiście skutkowało lepiej, niż wszystkie ustawy wyjątkowe. Zarażone anarchizmem duchy możeby nie były tak pohopne do spełniania zbrodni, gdyby wiedziały, że czeka ich jedynie śmierć, dożywotnie więzienie, przekleństwo ogółu ludzkiego — nic więcej. Charakterystycznym wielce w tym kierunku objawem było pytanie mordercy cesarzowej Elżbiety, wystosowane po roku kaźni do dozorców, czy i co jeszcze piszą o nim gazety? Złą, bardzo złą przysługę wyświadczają też ludzkości te pisma, które dla dogodzenia ciekawości tłumu, długo i szeroko rozpisują się o każdym tego rodzaju wyrzutku społeczeństwa.

Otwarty niedawno *parlament austryacki*, jak corocznie, tak i w tej kadencyi dostarcza obfitych wrażeń łaknącej sensacyi publiczności. Mieliśmy już sceny karczemne, a będzie ich zapewne więcej. O to postarają się napewno posłowie wszechniemieccy, ci najgodniejsi przedstawiciele charakteru Krzyżaków niemieckich. Przybył przecie nowy powód do okazania „dzikości“ teutońskiej: żądanie *Włochów* tyrolskich, aby przyznano im wobec Niemców większe, niż mają dziś prawa. Życzyć tylko wypada, aby starcia wywołane tem żądaniem otwarły i Włochom niezależnym, ślepo dziś jeszcze oddanym sojuszowi z Niemcami, oczy na niektóre specyalne właściwości charakteru niemieckiego. Może wówczas ochłoną nieco w swym zapale dla „przyjaciół“ po za Alpami.

Wiedeńskie *Koło polskie* zdecydowało się nareszcie wnieść interpelacyą w sprawie szykanowania polskich adresów w Prusach. Piszemy o tem także pod „Przeglądem Prasy“. Lepiej późno niż nigdy, i szczerze się cieszymy, że reprezentanci rodaków naszych w Austryi zdecydowali się nareszcie ująć się za językiem polskim w tej przynajmniej dziedzinie. Obecnie chodzi już jedynie o odpowiedź rządu. Bardzo jej jesteśmy ciekawi i z góry mniemamy, że ogólniki i niejasne obietnice nie zadowolą nikogo w Galicyi. Jest to wprost obowiązkiem rządu austryackiego zaprotestować przeciwko szykanom, o ile dotyczą listów z Austryi. Polacy w tem państwie, jak słusznie zaznacza „Głos narodu“ — nie są przecie poddanymi drugiej klasy i słusznie im się należy taka opieka, jak wszystkim austryackim poddanym za granicą. Organ ten jest zdania, że w tej sprawie powinien poprzeć Koło polskie cały parlament austryacki, naturalnie z wyjątkiem „prusofilów.“ A no — zobaczymy, czy się to stanie.

Zapowiedziana przez niektóre pisma austryackie dymisya p. *Koerbera* — jakoś pozostaje tylko pogłoską. Bardzo dowcipny i przebiegły ten mąż stanu nie myśli widocznie ustąpić z zajmowanego stanowiska. Wygodnie mu na niem — bo zręcznie umie za nos wodzić wszystkich, najbardziej niestety Koło polskie.

I w naszych *domowych sprawach* nie wiele w ostatnim tygodniu zaszło nowego. Pewną sensacyą wywołała pogłoska o rychłem rzekomo ustąpieniu p. Wittenburga, prezesa komisyi kolonizacyjnej oraz komentarze jej w niektórych dziennikach niemieckich. Rozpiszemy się o tem osobno — tu warto tylko zaznaczyć, że pogłoska, jakoby p. Wittenburga zastąpić chciano p. *Wittingiem*, naczelnym burmistrzem grodu „Przemysława“ — okazała się mylną. Myśmy z góry powątpiewali o jej wiarogodności. Już to „zasługi“ pana tego nawet w oczach rządu nie uprawniają go chyba do takiego wyniesienia.

W Pakości odbyło się przed tygodniem pierwsze w tym roku zebranie wyborcze z sprawozdaniami poselskiemi. Już to przezacny ks. Prałat *Wawrzyniak* jest najruchliwszym i najkonsekwentniejszym ze wszystkich prezesów naszych komitetów wyborczych. Zebrania takie to rzecz wielkiej wagi. Łączą one ściślej posłów z wyborcami i informują ogół o naszych sprawach i krzywdach. Powinny się też odbywać we wszystkich okręgach i życzyć tylko wypada, aby dobry przykład ks. Patrona Wawrzyniaka znalazł jaknajwięcej naśladowców wśród prezesów powiatowych.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Porównując położenie polskich wychodźców w niemieckich dyecezyach na zachodzie z położeniem Niemców-katolików w polskich naszych dyecezyach „Wiarus“ bochumski pisze tak:

„Polacy na obczyźnie już tyle podejmowali starań, które jednak dotąd wszystkie nie wiele skutkowały. Przecież we wielu parafiach na obczyźnie jest po kilka tysięcy Polaków, w niektórych Polacy tworzą większość parafian, a mimo to rzadko tylko, bo ledwie raz w miesiącu bywa tam wygłaszane kazanie polskie i jest sposobność do spowiedzi św. W takich parafiach jak Bottrop, Herten, Bruch, Baukau, Hortshausen, Kastrop, Wanne, Wattenscheid, Uckendorf, Herne, Langendreer, Hamborn itd. powinien koniecznie mieszkać stale kapłan polski, któryby co niedzielę przed południem wygłaszał kazanie polskie. Niestety, gdy Polacy proszą o wystarczającą opiekę duchowną w języku ojczystym, zbywają ich zwykle wymówką, że nie mają kapłanów umiejących po polsku. Czyż nie pamiętają oni o tem, że to rzecz i obowiązek władz duchownych starać się o opiekę duchowną powierzonych swej pieczy wiernych? a więc także o kapłanów rozumiejących język tychże? Co dziwniejsze, każą Polakom uczyć się po niemiecku, aby mogli wypełniać swe obowiązki religijne. Tak mówić i pisać mogą tylko ludzie, w rzeczywistości w Boga nie wierzący. A jednak tak po-

wiadają niejedni dajczkatolicy i różne ich „blatty“.

„Jakże inaczej postępuje Najprzew. Ks. Arcybiskup Dr. Floryan *Stablewski* w Poznaniu wobec swych dyecezyan niemieckich, który nawet dla szczupłej bardzo liczby Niemców każe częściej wygłaszać kazania niemieckie, aniżeli na obczyźnie dla całych tysięcy Polaków kazania polskie wygłaszane bywają.“

Tu „Wiarus“ przytacza dosłownie znane informacye „Kur. Pozn.“ w tej sprawie.

Kilkakrotnie już odzywały się w prasie naszej wyrazy oburzenia na tych katolików polskich grodu Przemysława (niestety z tak zw. „lepszego“ towarzystwa), którzy — mając chyba podostatkiem kościołów polskich — uczęszczają tłumnie na nabożeństwa do niemiecko-katolickiego kościoła pofranciszkańskiego. Zapełniając tam kościół, wywołują wrażenie, jakoby liczba Niemców katolików w Poznaniu była ogromnie wielka, a co najgłówniejsza, jakoby *wszyscy* Niemcy katolicy uczęszczali na nabożeństwa. Wiadomo zaś, że ledwie drobna ich cząstka poczuwa się do wypełnienia obowiązków religijnych, reszta wysuwa naprzód wyznanie swe jedynie dla celów politycznych i dla *karyery*. Zdaje się zaś, że polscy katolicy nietylko w Poznaniu grzeszą taką — nazwijmy to łagodnie: — niebezpieczną nieostrożnością. Czytamy oto i w „**Dzienniku Kujawskim**“ z tego powodu następującą przestrogę:

„Niełatwo wykorzenić przyzwyczajenie; jak gołębie do starego gołębnika, wielu Poznańczan lgnie do kościoła pofranciszkańskiego. Ale zaprawdę, widząc z jaką przebiegłością Niemcy wyzyskują tę okoliczność, jakie ztąd wynikają szykany ziomków, *powinni wziąć rozbrat z niemieckiemi nabożeństwami raz na zawsze. I dla nas w Inowrocławiu zawiera ta sprawa, jak wskazasiśmy, głęboką naukę,* dlatego zwracamy jeszcze raz na to uwagę, upominając w czas: *zaprzestańcie bywać na niemieckich nabożeństwach! A jest i tu przed kim ostrzegać!*“

Jak wiadomo już z pism codziennych, wniósł znany socyalista galicyjski, poseł do Rady państwa w Wiedniu, Ignacy Daszyński, interpelacyą w sprawie szykanowania polskich adresów na przesyłkach z Austryi przez poczty niemieckie. Poseł Daszyński wyzyskał znów zręczne i ogólne rozgoryczenie, ażeby okryć się płaszczykiem... zasługi około sprawy narodowej.

W gruncie rzeczy bowiem socyalizm nie dba ani o język, ani o inne właściwości narodowe — stojąc na gruncie międzynarodowym. Interpelacya Daszyńskiego była też jedynie przebiegłym manewrem celem zjednania partyi jego nowych zwolenników wśród łatwowiernych rodaków. Szczytem hypokryzyi było zaś, że zwrócił się nawet do Koła polskiego, na które zwykle miota najjadowitsze obelgi, ażeby interpelacyą tę podpisało. „Koło“ naturalnie odmówiło podpisów, co znów wywołało ogromne oburzenie w skrajnej prasie polskiej. Oburzenie to jest poniekąd słusznem, gdyż „Koło“ mogło i powinno było *uprzedzić* Daszyńskiego o tej ważnej sprawie. Niestety uważało ją tak długo za *„drobnostkę“* — aż ostatecznie podjął ją Daszyński. To bagatelizowanie ważnych spraw narodowych karci słusznie doskonale redagowany krakowski „**Głos Narodu**“ — wychodzący od niedawna pod redakcyą p. *Beaupré*, jednego z najzdolniejszych dziennikarzy galicyjskich. „**Głos**“ pisze:

„Morskie Oko — drobnostka, gimnazyum cieszyńskie — drobnostka, ucisk Polaków na Bukowinie — drobnostka, szkoła polska w Biały — drobnostka; a wobec tego zapatrywania sfer, zwanych decydującemi, nic dziwnego, że społeczeństwo zrywa się do działania gorączkowego, które nie w porę przychodzi i strat poniesionych już nie wynagrodzi. To bagatelizowanie spraw, dotykających przedewszystkiem uczuć narodowych społeczeństwa, było przez dłuższy czas systemem, którego smutne owoce ciągle jeszcze zbieramy. Ten właśnie system przyczynił się do wzbudzenia nieufności do rządu, do władzy, do ludzi, stojących na czele; dzięki niemu zaczęto dopatrywać się zdrady i przeniewierstwa, tam, gdzie była głównie ignorancya i niedbalstwo, — te zapatrywania ułatwiły hasłom nienawiści i kosmopolityzmu dostęp do szerokich warstw ludu, a znaczną część inteligencyi odstrychnęły od udziału w życiu publicznem.

„Niema drobnostek w sprawach narodowych, my zwłaszcza nie możemy ścierpieć żadnej najdrobniejszej straty z naszego narodowego bogactwa, bo już zbyt wiele utraciliśmy; więc nawet tam, gdzie pozornie tylko uczucia są draśnięte, bronić musimy praw naszych z takiem samem wytężeniem, jak gdy chodzi o obronę narodowego bytu.“

A w następnym numerze:

„Galicya jest prowincyą austryacką i język polski jest dla niej językiem urzędowym. Nic Galicyę nie obchodzą jakieś rozporządzenia władz pruskich — a jeżeli władze chcą szykanować Galicyan w stosunkach międzynarodowych, to rząd austryacki powinien w tej chwili zastosować takie same środki; to znaczy, że adresy niemieckie na przesyłkach pocztowych z Prus do Austryi przychodzących, powinny być zatrzymywane i tłomaczone urzędownie, w Galicyi na język polski, w Czechach na czeski itd. Tej zasady wzajemności trzymają się wszystkie państwa równorzędne. Jeżeli w Galicyi tolerowane są adresy niemieckie i listy z takiemi adresami doręcza poczta bez żadnych trudności, jeżeli np. w adresach niemieckich figurują miasta Krakau i Lemberg, nie istniejące nigdzie, a mimo to poczty galicyjskie listów takich nie zwracają i adresów nie tłomaczą to takiem samem prawem wolno nam żądać, aby listy, adresowane do Poznania i Torunia były doręczane bez zwłoki i bez przeszkody, choć staropolskie nazwiska tych grodów przekręcono urzędownie na Posen i Thorn.

„Sprawa to już nie polska, *ale ogólno-austryacka;* tu powinno się pokazać, czy Austrya jest rzeczywiście państwem równorzędnem z Niemcami, które nie zniesie poniżania i prześladowania swoich poddanych. Dlatego Koło polskie powinno było już dawno wnieść w parlamencie interpelacyę, a jeżeli tego nie uczyniło, jeżeli dało się uprzedzić socyalistom, to zaniedbanie to jest *ciężkim błędem i wielką winą wobec interesów narodowych i wobec powagi państwa.*“

Mieszczącą się w słowach tych racyą uznało nareszcie i „Koło polskie“ w Wiedniu i wreszcie, chociaż trochę późno, samo wniosło interpelacyą odnośną.

Jakie uczucia żywią do nas Polaków śląscy księża germanizatorzy, pouczy nas następująca korespondencya byłego współpracownika wrocławskiego „Posłańca Niedzielnego“ do „**Dziennika Berlińskiego**“:

„Jak dalece sięga nienawiść do nas i zaślepia nawet Niemców katolików, niechaj posłużą na dowód poniższe fakty:

„Będąc przed 2 laty zajęty w wydawnictwie „Posłańca niedzielnego“ i „Kathl. Sonntagsblatt“ (obydwa pisma są własnością ks. kard. Koppa, a drukują się w oficynie „Schl. Volkszeitung“) miałem często mimowoli sposobność przysłuchania się niejednym wyuzdanym wybrykom.

„Oto w pierwszym roku wydawnictwa „Posł. niedz.“ umieszczono w nim, jeżeli się nie mylę w nr. 11 albo 13 pieśni, dodawszy równocześnie nuty. Kilka egzemplarzy numeru tego leżało jak zwykle w ekspedycyi na stole.

„Pewnego dnia przychodzi do ekspedycyi dwóch księży — germanizatorów i jeden z nich widząc „Posłańca niedzielnego“ z nutami, zapytał: „was ist denn das?“ a odebrawszy odpowiedź, rzekł — „was, hat denn die Bande auch Noten?“ (Co, ta hołota, ma także nuty?) Na to jeden z członków ekspedycyi, wskazując na mnie, odpowiada owemu księdzu: „Der Herr da ist auch *po polski* (!).“ Gdym sobie takie traktowanie wyprosił, zaprzestali wprawdzie dalszej gadaniny, ale sprawa sama nie pozostała dla mnie bez następstw. W innym razie zdarzyło się, że gdy drukarnia „Schl. Volksztg.“ odebrała zlecenie do wykonania napisów pod światłodruki królów polskich, które wyszły nakładem M. Wójcika we Lwowie, a wykonane zostały u A. Fabiana i Spółki w Wrocławiu, przystąpił jeden z oficyalistów drukarni do znajdującego się w ekspedycyi księdza i pokazując mu obrazy, rzekł: „Wie, Herr Erzpriester, wie wäre es, wenn wir unter diesen ständen.“ Na to ów ksiądz: „was ist denn das?“ „das sind die *polschen* Könige“, była odpowiedź. „Ach,“ odpowiada ów ksiądz — germanizator, „die können mich am ..... lecken.“ A gdy spostrzeżono i zauważono, żem został jak najmocniej dotknięty, dobrano znów miny i jeden z oficyalistów pokazując na mnie, rzekł, „der Herr da ist *po polski* (?), der scheint getroffen zu sein.“

„Nie zostałem dłużny odpowiedzi, poczem naraz umilkli. Od czasu tego czułem, że przeciwko mnie intrygowano i to tak długo, dopóki się nie udało mnie wygryźć. Dziś pracują w Wydawnictwie „Posłańca niedz.“ z wyjątkiem jednego, sami landsmani, a ksiądz kard. obdarza ich co rok z nadwyżek znacznemi gratyfikacyami.“

Przytoczymy tu na tem miejscu jeszcze wiadomość podaną w „D. Ztg.“, że w Birtułtowych na Górnym Śląsku założono filię HKT, na której czele stoją zniemczeni katolicy, Gazierowski, Czapała i Waniura.

Tak samo w katolickim Bytomiu założono takie towarzystwo, jak wynika

z następującej korespondencyi ze Slązka do „**Gońca Wielkopolskiego**“:

„Donoszę niniejszem, że i w naszem mieście utworzoną została w tych dniach spółka hakatystów — filia „Ostmarkenvereinu.“

„Zaszczytne urzędy“ przywódzców tego bractwa przyjęli obok innych znany w mieście naszem pp. Fey, mieszkający przy Ogrodowej ul. i adwokat Boas, przy Bulwarze.

„Przekonani jesteśmy, że nasi Górnoślązacy spamiętają sobie dobrze tych nowych bojowników przeciw polskości i wiedzieć będą, jakie wobec takich panów zająć stanowisko.“

Lud nasz niestety często jest jeszcze tak nieoświecony, że ślepo słucha księży i wszystkie życzenia ich spełnia Jest to bardzo dobrze, gdy ksiądz jest wzorowym obywatelem polskim, jak w Księstwie lub też sprawiedliwym i prawdziwym katolikiem, brzydzącym się robotą hakatystyczną. Gdy jednak tak nie jest, to ta ślepa wiara przynosi niezmierne szkody polskości, jak to wynika z wiadomości podanej w „Lechu“.

Otóż do „**Lecha**“ piszą, co następuje:

„W niedzielę ubiegłą odbył się tu już zapowiedziany a przez nas krótko opisany festyn bydgoskich dajczkatolików. „Ostdeutsche Rundschau“, organ tychże podaje szczegółowo cały przebieg.

„Rano odbyło się solenne nabożeństwo w kościele pojezuickim, sztandar poświęcił ze stósowną mową X. prob. Markwart, kazanie wygłosił X. prebendarz Paradowski.

„Po południu odbył się uroczysty pochód, na czele szli księża otoczeni halabardzistami w strojach staroniemieckich. Przy odgłosie trąb maszerowano po mieście od godziny 4-tej do pół do 6-tej. Po drodze przedefilował pochód koło pomnika cesarza Wilhelma I., wsławionego kulturkampfem, pod jego to bowiem panowaniem zapełniły się więzienia księżmi i biskupami. Tu złożył X. Paradowski piękny, drogi wieniec i głosem donośnym sławił rządy monarsze, w końcu z werwą patryotyczną wzniósł okrzyk na cześć domu panującego. Po przemówieniu obeszli dajczkatolicy pomnik do koła i udano się dalej w pochód do sali Patzera.

„Na sali odbyły się pod batutą ks. Schitly śpiewy na głosy mieszane. Ks. prob Lenz z Trzcianki (Schönlanke) miał uroczystą przemowę. Ks. prob. Markwart przemówiwszy patryotycznie, złożył życzenia całej (?) (tu się „Rundschau“ myli, bo wątpimy, czy Polacy, znający na wskroś niemieckie usposobienie i zamiary dajczkatolików bydgoskich, dali ks. M. zlecenie ku temu) gminy katolickiej. Przemawiał także ks. Paradowski, burmistrz p. Knobloch cieszył się bardzo, że katolicy w Bydgoszczy są tak mocno patryotycznie usposobieni, i życzył sobie, aby wszystkie dajczkatolickie towarzystwa złączyły się w jeden „Verband.“

„O godz. 8 mej wieczorem odegrano teatr amatorski p. t. „Der Arbeit Preis“ i oratoryum „Sw. Aloizy“, w których polska młodzież udział brała. W końcu odbył się taniec. Ludek nasz, widząc swych duszpasterzy na czele uroczystości, w tym festynie bardzo liczny wziął udział.“ *B. M.*

Korespondencye „Pracy“ i listy od Przyjaciół.

Bernburg, 27-go października 1901.

Szanowna Redakcyo „Pracy!“

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Nie mogąc dalej znieść i zamilczeć współczucia, jakie wywołało w pośród nas Polaków w Bernburgu aresztowanie dra Rakowskiego, człowieka tak zacnego i szlachetnego, którego imię między nami Polakami na obczyźnie daleko i szeroko słynie, składamy Szanownej Redakcyi jak największe nasze współczucie przez utratę tak gorliwego męża i współpracownika „Pracy“ w osobie pana dra Rakowskiego. I my abonenci „Pracy“ tracimy przez aresztowanie pana dra Rakowskiego gorliwego patryotę, bo jak ochoczo czytaliśmy jego artykuły, drukowane w „Pracy“ i czytaliśmy z uwagą i nie bez skutku, bośmy się nawzajem dobrze rozumieli i nie wydrze nam nikt tego, co nam pan dr. Rakowski do serca zaszczepił. W numerze 43-im „Pracy“ czytałem życiorys pana doktora Rakowskiego i dowiedziałem się z niego, jak wiele ten jeszcze młody człowiek przysłużył się naszej biednej, a kochanej Ojczyźnie, więc serce zaczęło we mnie żwawo bić, a me oczy we łzach stanęły, że człowiek tak zasłużony, dziś w murach pruskiego więzienia się znajduje. Bóg zasmuci, Bóg pocieszy, a więc prośmy Pana Boga, żeby go Pan Bóg przy zdrowiu zachował i jak najprędzej raczył wolność odzyskać. A teraz odzywam się do wszystkich rodaków na obczyźnie i w Ojczyźnie: „Popierajmy „Pracę“ i „Czytelnię“ i rozszerzajmy je pośród rodaków, bo te pisma są poparcia godne.

Gdy p. dr. Rakowski wolność odzyska, żeby się do tego czasu liczba abonentów „Pracy“ pomnożyła, a przez to sprawimy panu dr. Rakowskiemu uciechę, że nie bez skutku był więziony, bo mówi polskie przysłowie, że „nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.“

A teraz podaję parę słów i mogę faktem stwierdzić, że nie bez skutku jest czytać polską gazetę, ale z uwagą czytać a przedewszystkiem naszą kochaną „Pracę.“

Było to przeszłego roku, gdym zachęcał jednego z tutejszych Polaków do czytania „Pracy“, to ów człowiek usłuchał rady mojej i zaabonował „Pracę“, którą mu każdej niedzieli dostarczam; ów człowiek na wpół zgermanizowany, bo pojął za żonę luterkę, już ostatnią iskierkę byłby utracił polskości, żeby nie nasza kochana „Praca“, która go z letargu ocuciła i przejrzał ten człowiek, że zbłądził, a dziś jest gorliwym członkiem Towarzystwa św. Józefa i zasiada w urzędzie Towarzystwa, a żona jego luterka, przed paru tygodniami przyjęła wiarę katolicką i nawet się uczy języka polskiego, więc prosi mnie ten członek z Towarzystwa św. Józefa, żebym napisał do „Pracy“, a Szanowna Redakcya tę parę słów zamieściła w łamach swego pisma, żeby stroskaną matkę pocieszyć, która mieszka w Księstwie Poznańskiem i także abonuje „Pracę“, że syn jej Michał Gorynak jest dobrym Polakiem i katolikiem, a żona jego jest teraz także katoliczką.

W latosim roku odwiedził nas tu Polaków ksiądz polski dwa razy w Bernburgu, słuchał spowiedzi i odprawił krótkie nabożeństwo po polsku, co nam wszystkim Polakom dużo sprawiło radości.

Z szacunkiem
Józef S.

* * *

Horst nad rzeką Ruhr, d. 2. 11. 1901.

Szanowna Redakcyo „Pracy!“

Codzień się zabierałem, abym mógł opisać coś o naszym Horscie, co się tu dzieje z naszymi dobrymi Polakami i zawsze mi zeszło na niczem, aż dziś wziąłem „Pracę“ w rękę i wyczytałem w niej w nr. 41-ym korespondencyą z Bochum. W niej ubolewa korespondent nad ludem bez oświaty, iż nie czytają polskich gazet i nic nie wiedzą, tylko niezdrowym językiem kaleczą tę piękną mowę polską.

Przed dwoma tygodniami wziąłem „Pracę“ ze sobą do Towarzystwa św. Piotra tu w Horście i przeczytałem z niej na posiedzeniu parę artykułów i prosiłem, aby sobie zapisali „Pracę“, gdyż ta gazeta jest nam tu na obczyźnie bardzo potrzebna, daje dużo oświaty, kształci nas na gorliwych Polaków i broni nas od zagłady. Wtem przychodzi jeden z członków i zapytuje mnie się, co to jest za kalendarz, co ja go czytam? Widać z tego, iż nie musiał mieć jeszcze „Pracy“ w ręce, kiedy nie mógł poznać co kalendarz, a co gazeta, bo on abonuje niemiecki zajtung.

Są tu tacy dobrzy Polacy u nas w Horście, że gdy im chleb owinie ich „kostfrau“ w polskie gazety, to się wstydzą, i gdy przyjdą do domu na wieczór od pracy, to swoją „kostfrau“ za to wykrzyczą, że im wstyd robi polskiemi gazetami i że ma im owinąć chleb w niemieckie blaty, bo gdy Niemcy u nich zobaczą polską gazetę, to się z nich śmieją i szydzą.

Nie wiedzą o tem, że kto się wyprze swego imienia niewart jest niczego, kto się wyprze ojców swoich wiary i mowy, przeklętym jest. Najwięcej można się przysłuchać, gdy ich się zejdzie paru do „Wirtszaftu,“ a przy kieliszku rozmowy prowadzą, to ich nikt by nie zrozumiał, tak lekceważą swoją piękną i cudną polską mowę, że aż się krew ścina w żyłach i dobremu Polakowi serce ciężko się krwawi, a nie można mu nic mówić, bo on jest mądrzejszy, bo czytuje niemieckie blaty; niewie o tem, iż sam się pogardza i drugim Polakom wstyd robi.

A więc dalej, bracia Polacy, weźmy się do dzieła, zapiszmy sobie „Pracę“, gdyż „Praca“ powinna się znajdować w każdym polskim domu, a mianowicie tam, gdzie są dzieci. Ojciec czyta i wyjaśnia dla zrozumienia dzieciom. Mają na co się przyglądać: malownicze gmachy polskich kościołów i wizerunki znakomitych mężów kochanej Polski. Jak się mogą cieszyć niejedni, gdy znajdą w „Pracy“ swoje rodzinne miasto lub wieś, to wszystko powinno człowieka dobrego zachęcać do zapisania sobie „Pracy.“

W takim domu, gdzie czytują „Pracę“, możesz się coś dowiedzieć i z takiego Polaka żaden Niemiec nie będzie szydził, bo Pan Bóg na to nie pozwoli, bo gdzie jest modlitwa, polska gazeta i uczciwość, tam Pan Bóg błogosławi.

Czytając gazety obejdzie się bez knajpy, zaoszczędzi sobie ciężko zapracowanego grosza i nie będzie pasł H. K. T., bo tu u nas prawie każdy knajpista nim jest. W oczy asystuje, a potem szydzi przed Niemcami „dume Polak.“ Cieszę się bardzo, że przed pierwszym zjednałem na nowy kwartał kilku abonentów „Pracy.“

Ja „Pracę“ trzymam trzeci rok tu na obczyźnie. Proszę szanowną Redakcyą „Pracy“, aby była tak dobra, i mi przysłać raczyła parę „Prac“,*) abym mógł rozdać pomiędzy drugich, a z pewnością więcej dadzą się zapisać. Ja jestem w Towarzystwie św. Barbary w Bochum, to widzę na posiedzeniu sporo „Prac“ na stołach, co członkowie ze sobą poprzynoszą do czytania dla drugich.

Pozdrawiam szanowną Redakcyą wraz z wszystkimi Czytelnikami „Pracy.“ Wdzięczny czytelnik „Pracy.“

Ignacy C.

Z chwili.

O zaręczynach arcyksiężniczki Elżbiety z księciem Windischgraetzem dochodzą następujące szczegóły:

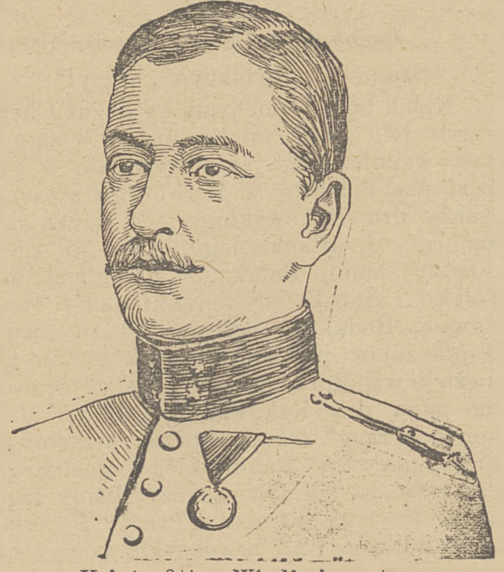
Arcyksiężniczka Elżbieta poznała księcia Ottona na balu dworskim w roku ubiegłym.



Arcyksiężniczka Elżbieta.

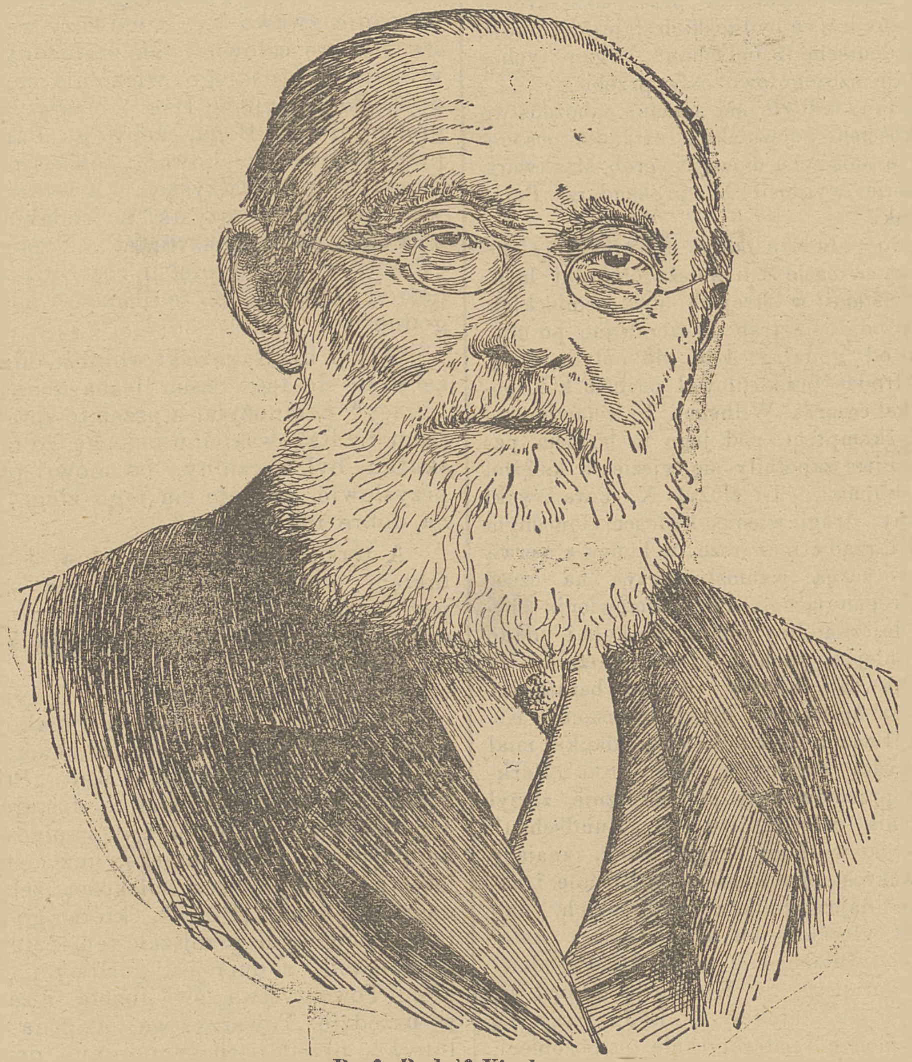
Na wszystkich późniejszych uroczystościach, w których podczas karnawału 1900-go r. uczestniczyła, wyróżniała go widocznie, a ponieważ lubi taniec namiętnie, a ks. Otton jest dobrym tancerzem, nie przypisywano temu zbliżeniu się młodej pary wielkiej wagi. Podczas lata jednak arcyksiężniczka wyznała matce swojej, arcyksiężnej Stefanii, a wówczas już hr. Elmer Lonyay, miłość swą dla Ottona oraz oświadczyła, że on tylko mężem jej będzie.

Do wyznania tego zniewoliły ją nalegania matki, którą niepokoiła obojętność jedynaczki dla wszystkich książąt krwi, starających się o jej rękę. Pomimo że arcyksiężna myślała o innym mężu dla swej córki, jednak przyjęła przychylnie oświadczenie córki, nie ona atoli decydowała ostatecznie o tej sprawie. Potrzebna była zgoda dziadka, cesarza



Książę Otton Windischgraetz.

Franciszka Józefa. Arcyksiężniczka postanowiła więc, za zgodą matki, zawiadomić cesarza osobiście o miłości swej i uzyskać pozwolenie jego na związek z ukochanym.



Prof. Rudolf Virchow.

Cesarz, bardzo względny w sprawach sercowych, czego dał już dowód, zezwalając na ślub wdowy po swym synu z hrabią Lonyay, oraz starszej wnuczki, córki ks. Leopolda bawarskiego, z porucznikiem armii austryackiej, baronem Seefriedem, wysłuchał życzliwie wyznań dziewczęcia, ale oświadczył, że ostateczną decyzyę wyda dopiero po ukończeniu przez nią osiemnastego roku życia, chcąc przez to wypróbować stałość jej przywiązania do ks. Ottona.

Dnia 2 go września r. b. upłynął właśnie ów termin; arcyksiężna postanowienia swego nie zmieniła, cesarz więc zgodził się na ów związek ostatecznie i już na początku zeszłego miesiąca nie było w kołach dworskich tajemnicą, że zaręczyny młodej pary są postanowione.

Dnia 13 go z. m. przybyła z Austerlitz do Wiednia matka arcyksiężniczki Elżbiety, hr. Elmer Lonyay, i zatrzymała się w zamku hetzendorfskim. Następnego dnia cesarz złożył jej wizytę. Tego samego dnia w zamku schönbruńskim odbył się obiad galowy na cześć młodej pary, w którym, prócz cesarza, brali udział wszyscy członkowie rodziny cesarskiej, bawiący w Wiedniu, Alfred książę Windischgraetz, hrabstwo Lonyay oraz narzeczeni.

We wtorek, dnia 15-go z. m., odbył się obrząd zaręczyn, o którym urzędowa „Wiener Zeitung“ podała tylko krótką, lakoniczą wzmiankę.

Uroczystość miała charakter ściśle rodzinny i odbyła się bez ostentacyi ze względu na to, że narzeczony nie należy do rodziny panującej.

Ślub odbędzie się w lutym r. p.

Narzeczony arcyksiężniczki Elżbiety spowinowacony jest z rodziną Radziwiłłów, stryj bowiem jego, Hugon ks. Windischgraetz, ma za małżonkę Matyldę ks. Radziwiłłównę.

* * *

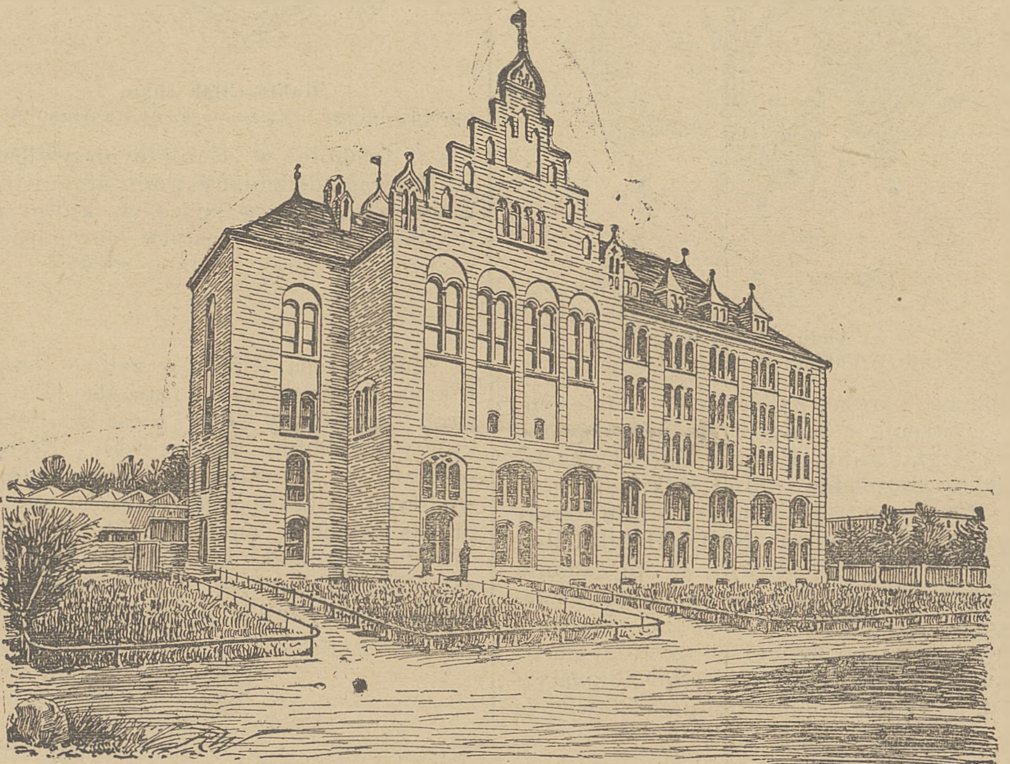
Świat naukowy obchodził świeżo wielką a rzadką uroczystość: ośmdziesiątą rocznicę urodzin Rudolfa Virchowa.

---

*) Wysłaliśmy i dziękujemy najserdeczniej za życzliwość i agitacyą. — Przyp. Red.

Około sędziwego a czynnego dotychczas na polu naukowem księcia wiedzy zgromadzili się w Berlinie najznakomitsi współcześni przedstawiciele medycyny; ministrowie i reprezentanci wszystkich narodow cywilizowanych składali mu hołd, a wdzięczna ludzkość zapisała jego imię złotemi literami na kartach swoich dziejów.

Trzy dziedziny wiedzy uprawiał głównie Virchow, na każdej zaznaczając się jako reformator i mistrz niezrównany. W medycynie, szczególnie w patologii wyrugował zastarzałe poglądy metafizyków, „filozofów przyrody“ i proklamował obserwacyę i eksperyment jako podwaliny; specyalnie stworzył patologię komórkową, naukę, szukającą w komórce i jej miarach podstawy wszelkiej choroby (Vorlesungen über Cellular-Pathologie in ihrer Begründung auf physiologische und pathologische Gewebelehre, 1859). Przed Virchowem wierzono, że choroba powstaje skutkiem złego układania się soków żywotnych, on wykazał, że siedlisko choroby spoczywa w komórce, jako w elementarnej formie życia; wszelkie życie jest związane z komórką, tylko przez jej badanie anatomiczne i porównywanie zdrowych komórek z choremi, można dojść istoty choroby. Metodzie tej nowoczesna medycyna zawdzięcza też wszystkie swe postępy.



Instytut patologiczny w Berlinie.

Dalej pracował Virchow niestrudzenie na polu antropologii. Badał czaszki i groby stare, wykopaliska trojańskie i pamiątki po człowieku przedhistorycznym, znamiona zaś żyjących i narzędzia obrzędów, zabaw, pracy, stroje — i przyczynił się niemało do zespolenia tych materyałów w ścisłą naukę i do zbudowania jej wspaniałej siedziby międzynarodowej w Berlińskiem Muzeum etnologicznem.

Trzeciem polem twórczem dla Virchowa jest higiena. Jako młodziutki lekarz został w r. 1848 wysłany przez rząd pruski na Górny Śląsk dla badań nad tyfusem; zetknął się wtenczas z nędzą materyalną i zdrowotną i śledził ją potem przez długie lata we wszystkich jej kryjówkach podczas epidemii i w zaułkach miast wielkich. Rozpoczął też z nią wcześnie walkę nieubłaganą i obok Pettenkofera najwięcej w nowych czasach się przyczynił do postępów nauki o zdrowiu, do zapobiegania chorobom przez kanalizacyę stolic etc.

Poznawszy nędzę — poznał lud. Virchow łączył ściśle wiedzę z życiem i dążył — podobnie jak w nauce — do swobody i światła w najszerszem znaczeniu słowa. Jeszcze w r. 1848 został wybrany posłem, mandat jego, jako nie posiadającego przepisanego wieku, był atoli nie ważnym; z powodu udziału w ówczesnym ruchu wolnościowym rząd pruski nie szczędził prześladowań — on zaś był w sejmie pruskim i w parlamencie stanowczym, zdecydowanym przeciwnikiem Bismarcka. Z żelaznym kanclerzem ścierał się tak ostro, że obrażony nań w r. 1865 Bismarck wyzwał go na pojedynek. Sprawa oparła się wówczas o sejm, dała powód do długich debat na temat, czy poseł powinien odpowiadać z bronią w ręku za wykonywanie obowiązku, z drugiej strony czy kierownik państwa może narażać swe życie — i rozwiązania nie znalazła. Przeciwnikiem systemu junkierskiego Virchow został dotąd, a pamiętnem jest, jak cesarz Wilhelm czcząc przed kilku laty Helmholtza i Du Bois-Reymonda wolnomyślnego Virchowa ostentacyjnie pominął...

Plamy odkrywamy nawet na słońcu. Virchow uczony po dziś dzień zajmuje stanowisko nie jasne odnośnie do teoryi ewolucyi, nie jasnem jest też jego stanowisko polityczne w sprawie polskiej. To jednak, co w zawodzie naukowym wykonał, wystarcza, by mu zapewnić cześć i wdzięczność całego cywilizowanego świata...

* * *

Francya udaje, jakoby na prawdę zamierzała ostro wystąpić przeciw Turcyi. Mówią, że sułtan oznajmił, iż da Francyi w bardzo krótkim czasie satysfakcyę. Swoją drogą miał sułtan wysłać notę do mocarstw europejskich, w której prosi o zapobieżenie zajęcia przez Francuzów portu Smyrny lub Saloniki. Francya działa podobno w porozumieniu z Rosyą.

Według telegramów z Paryża dywizya admirała Caillarda zawinęła dnia 1-go b. m. w St. Bonifacio na Korsyce i ruszyła ztamtąd zaraz na wody Lewanty.



Admirał Caillard.

Flota składa się z 7 okrętów. Na pokładzie floty jest 12 armat wielkich, 38 średniego kalibru i 110 mniejszych. Załoga wszystkich 7 okrętów składa się z 125 oficerów i 2526 marynarzy.

* * *

Były egipski minister wojny Arabi basza, którego portret podajemy, powrócił po 19 letniem wygnaniu z Ceylonu do Kairu. To wydarzenie przypomina jednocześnie wypadki 1882-go roku, które doprowadziły do zajęcia Egiptu przez Anglików. Arabi, wówczas jeszcze młody człowiek, pełen talentu i energii, stanął na czele partyi narodowej i usiłował wyzwolić Egipt od wpływów cudzoziemskich. Jego pozycya jako ministra wojny czyniła to zadanie dość łatwem, więc też po za plecami niejako chedywa



Arabi basza,
po powrocie do ojczyzny po 19-letniem wygnaniu.

rozpoczął Arabi basza akcyę przeciw Anglikom. Bombardowanie Aleksandryi przez flotę angielską w r. 1882 zmusiło Arabiego do cofnięcia się w głąb kraju, lecz tu okazało się mistrzowstwo taktyki angielskiej. Wojska ang. nie ścigały Arabiego bezpośrednio, lecz zjawiły się nagle około kanału Suezkiego i zajęły na tym ważnym dla Anglików punkcie wszystkie wybitne pozycye. Ztąd lord Wolseley, dzisiejszy minister wojny, pociągnął przeciw Arabiemu pobił go pod Tel-el-Kebir, zajął Kair i stłumił dalszy opór. Arabi basza musiał się poddać. Stawiono go przed sądem i skazano na zesłanie do Ceylonu. Skazanie to było dożywotnie, jednakże rząd angielski ułaskawił wygnańca, ponieważ dziś nie potrzebuje się obawiać Arabiego w Egipcie. Egipt przyzwyczaił się przez lat 19 do roli prowincyi angielskiej, a protesty francuskie pozostały dotychczas platonicznemi. Arabi basza pozostaje w Kairze postacią historyczną tylko.

* * *

W Afganistanie nastąpiła zmiana tronu. Ta wyżyna azyatycka, stanowiąca obecnie granicę pomiędzy posiadłościami rosyjskiemi w Turkiestanie i angielskiemi w Indyach, stanowi ważny posterunek w Azyi i jest źródłem nieustannej troski ze strony Anglików.

W dniu 3. zm. po krótkiej chorobie, zmarł dotychczasowy emir afganistański Abdur-Rahman-chan w wieku lat 56. Urodzony w roku 1845, jako syn Afzala chana, powołany został na tron w d. 22 lipca 1880r. Walczył on pod wodzą swego ojca i swego stryja Azima chana przeciw prawdziwemu emirowi Szir Alemu i zdobył w r. 1866 Kabul, gdzie Afzal zasiadł na tronie. Gdy po śmierci tego ostatniego Azim został wypędzony przez Szir-Alego, musiał wycofać się Abdur-Rahman, pobity przez Jabuba chana syna emira. Zamieszkał on wtedy w Samarkandzie i otrzymywał pensyę. Gdy po śmierci Szir-Alego, Jabub chan, popierany przez Anglików, okazał się niezdolnym do rządów, powołano Abdur Rahmana do Kabulu. Jakkolwiek był on wrogiem Anglików, jednakże przyjął do pewnego stopnia władzę z ich rąk i pozostał im wiernym podczas walk z Ejubem chanem.

Abdur Rahman na początku bieżącego roku ogłosił swoją autobiografię, w której popiera ideę niezależności Afganistanu. Względem Aanglików okazuje się emir zawsze wrogiem, widoczną jest jednak rzeczą, iż usiłował przez ciąg całego swojego życia lawirować ze sprytem dyplomaty azyatyckiego. Zdawał on sobie wybornie sprawę z ważności Afganistanu, albowiem w swojej autobiografii pisze: Żadne mocarstwo interesowane nie może obejść się bez Afganistanu i naszej pomocy. Położenie nasze jest takie, że zupełnie panujemy na pograniczu i możemy oddać wielkie usługi,



Abdur Rahman,
emir Afganistanu, zmarł 3 z. m.

albo też bardzo zaszkodzić. Zdaje się, że marzeniem emira było trójprzymierze Afganistanu, Persyi i Turcyi. Marzenie to jest nader trudno wykonalnem.

Następca tronu jest formalnie starszy syn Abdur-Rahmana Sirdar Habib-Ullah. Jest on w danej chwili w posiadaniu faktycznej władzy i nie zamierza ustąpić możliwym pretendentom. Pierwszą rzeczą jego po zgonie emira, który zmarł skutkiem silnie rozwiniętego reumatyzmu, było zawiadomienie przedstawiciela Anglii i pochwycenie zapasów bron w arsenale. Podobno Anglia oświadczyła się na rzecz Habebullaha, którego uważa za sprzyjającego sobie. Zresztą sytuacya wyjaśni się dopiero stopniowo, w miarę wypadków. Wogóle w Londy-



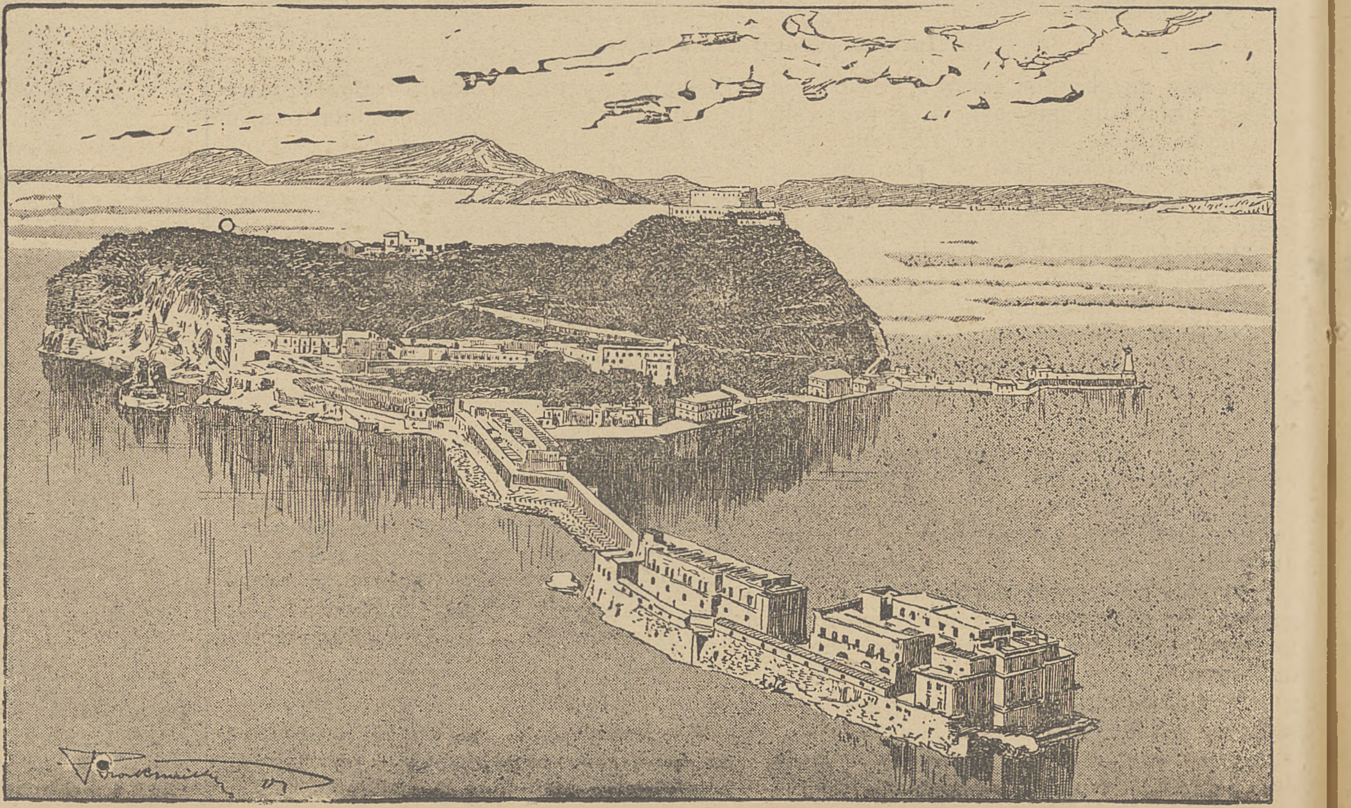
Habib-Ullah chan,
następca tronu i syn zmarłego emira Afganistanu.

nie i wogóle w Europie przywięzują wielką wagę do zmiany tronu afganistańskiego, zwłaszcza w epoce, w której polityka azyatycka mocarstw europejskich zaczyna się coraz bardziej rozwijać.

* * *

Mała wyspa Nizida w zatoce Neapolitańskiej przeznaczoną została jako lazaret izolacyjny dla nieszczęśliwych, którzy na dżumę zachorowali. Niebezpieczeństwo tej zamorskiej choroby spowodowało włoskie władze sanitarne do przedsięwzięcia energicznych środków ostrożności, dzięki którym udało się też zaraźliwą tę chorobę, przywiezioną do Neapolu, przytłumić w zarodku.

—ski.



Lazaret izolacyjny na wyspie Nizida.

Na puszczy.

Z angielskiego skreślił dla „Pracy“ Dr. W. Z.

(Przedruk wzbroniony).

(Dokończenie.)

Orzeźwiona cokolwiek tą odrobiną wody, spojrzała ku okienku w górze i poczuła tam ztąd razem ze świeżem powietrzem dochodzący ją zapach kwiatów i krzewów Brughiery.

Znajome jej księżycowe światło i znajomy zapach kwiatów orzeźwił zmroczone zmysły i osłabłe poczucie własnej siły — a jak u każdego więźnia, tak samo i w jej główce pierwszą myślą było, czyby jej się nie udało wydostać na wolność. Wiedziała, że od trzymających ją w tem zamknięciu ludzi, żadnej litości, ani względności spodziewać się nie może.

Jak poczęści wszędzie, tak i we Włoszech, co policya robi, to zawsze dobrze robi. O kogoś zmarłego w więziennej celi nikt się nie troszczy. Toż zawsze znajdzie się usłużny lekarz lub felczer, gotów do spisania protokółu i oznaczenia naukowem mianem naturalnej przyczyny wypadku śmierci.

Będąc przytomną rozmowom przybywających młodych ludzi do jej ojca, słyszała już nieraz o podobnych okrucieństwach — wiedziała, że prędzej skorpiony nad nią się ulitują, aniżeli ludzie.

Patrząc z dołu okienko zdawało się być niezmiernie wązkiem, — lecz Palma była tak szczupła, zmoczone ubranie przylegało do ciała. W celi zaś nie było nic, coby jej do przestrzeni oddzielającej okienko od ziemi, dopomódz mogło.

Przypatrując się jednakże bliżej ścianie, odkryła, iż na połowie nagiej ceglanej ściany znajduje się dawniej od zewnątrz zamurowane większe okno, w którem żelazne kraty od wewnątrz pozostałe, w ścianie jeszcze osadzone były. Ściana zbudowana też była z płaskiej włoskiej cegły, nierówna, — pełna zagłębień powstałych przez wyłamanie lub częściowe wykruszenie się cegły.

Ojciec uczył ją zawsze gimnastyki, na zręczności jej zatem nie zbywało — lecz obecnie czuła się tak strasznie osłabioną skutkiem nadmiernego zmęczenia, głodu, pragnienia i przebytych wrażeń. Zaledwie jej siły starczyły, aby się do ściany przywlec — nie wiedziała zresztą, co z drugiej strony muru się znajduje. Dochodzący ją zapach kwiecia puszczy pozwalał wnosić, że tam do ulubionych przez nią obszarów nie może być daleko, lecz tego nie była pewna.

Myśl wszakże co ją jeszcze za okropności w tej celi czekać mogą, że od ludzi niczego dobrego, a tylko chyba coraz większego znęcania się nad sobą doznać może, pobudzała ją do nadludzkich wysiłków.

Końce palcy od nóg starała się wsunąć w szczelinę pomiędzy cegłami, zaczepiła się drżącemi rękoma o wyższe cegły i jak dzięcioł po drzewie bardzo powoli, lecz coraz wyżej wspinać się zaczęła. Nareszcie uchwyciła ręką kratę żelazną zamurowanego okna i z wysiłkiem na krawędź tegoż się przedostała. Tutaj przynajmniej tyle miejsca było, że chwilkę odpocząć mogła.

Następnie tym samym sposobem dalej piąć się zaczęła; przychodziło to już cokolwiek łatwiej, bo o kraty nogami łatwiej oprzeć się mogła.

Wreszcie po niezmiernych wysiłkach woli i ciała zachwyciła brzeg okienka, a opierając się na rękach tylko, głowę przez nie wysunęła na zewnątrz. Swiatło księżyca twarz jej oblało, a zapach puszczy wyraźnie ją tutaj dochodził. To jej nowej odwagi dodało.

Okienko było tak wązkie, że z największą trudnością gniotąc sobie piersi przez nie przecisnąć się mogła, było zaś tak nizkiem, że o wydobyciu nóg naprzód, by na nie zeskoczyć, mowy nawet nie było. Pozostawało chyba rzucić się głową naprzód. A jeżeli się zabije upadając na ziemię? Zawsze to jeszcze jest lepszem, pomyślała, aniżeli pozostawać w tej okropnej celi, gdzie ją albo zamęczą pragnieniem i głodem, albo biciem uśmiercą — a zresztą choćby się i zabiła, to śmiercią swą ugniewa i umartwi prześladowców ojca.

Nie namyślając się dłużej, skoro tylko jej ciało przeważać na zewnątrz zaczęło, rzuciła się całą siłą naprzód. Szczęściem pod murem leżała kupa nagromadzonego suchego chróstu, to ją uratowało od śmierci. Chróst się zagiął, gałęzie tegoż podrapały i pokaleczyły jej twarz, ręce i nogi, lecz uchroniły od za silnego uderzenia spadające ciało.

Na chwilę upadek pozbawił Palmę przytomności, lecz świeże powietrze i chłód wkrótce ją orzeźwiły, tak iż spoglądając naokoło siebie, z radością ujrzała, iż dalsze zapory nie istnieją dla niej.

Wysokie mury zabudowań czerniały za nią i nad nią, lecz przed nią była otwarta przestrzeń. Szczekanie psów na dziedzińcu za murem do reszty ją otrzeźwiło, pobudzając do nowych wysileń, byle tylko ze szpon prześladowców się wydostać.

Potłuczona i zbolała, pomimo, że w na pół przytomnej jej głowie myśli bezładnie się kłębiły i wirowały, zataczając się często, zaczęła się posuwać ku niedalekim krzakom Brughiery. Widok ich, poczucie wolności, świeże powietrze, zapach kwiatów dodał jej nowych sił.

Nieraz zawadziwszy nogą o sterczący korzeń upadła, nieraz w omdlałej piersi tchu jej zabrakło, lecz za każdym razem zrywała się znowu, przyśpieszony oddech świszczał jej w gardle, lecz myśl, że uciekać trzeba z tego okropnego miejsca pędziła ją dalej i dalej.

Księżyc wzbił się na niebie wysoko, gwiazdy migotały coraz więcej, a ona szła i szła bez drogi, przedzierając się tylko przez zarośla i krzaki.

Nagle nogi zadrgały pod nią, w głowie powstał szum i zamęt, niezwyciężona niczem słabość ją ogarnęła i wyczerpana do ostateczności padła na ziemię jak ptak w locie kamieniem ugodzony.

Lecz upadła w gąszcz zarośli, które jak gdyby w tej chwili za całą miłość ku nim odczuwaną, odwdzięczyć jej się chciały, zakryły ją zupełnie swą zielenią i kwieciem, tak iż gdy w godzin kilka konni gońcy za nią w pościg wysłani o kilka kroków od niej przejeżdżali, żaden nawet domyślić się nie mógł, iż tak blizko się znajduje.

Palma zapadła w sen, martwotą swą śmierć przypominający.

Wczesnym rankiem przejeżdżał tędy stary człowiek na mule. Zwierzę dźwigało szerokie kosze i kroczyło powoli znaną ścieżyną. Był to stary Idalico z Cardano, któremu sumienie tchórzostwo i zdradę wyrzucać zaczęło. Nie doszedłszy zatem do Umo zawrócił ku domowi, zabrawszy muła i przedostawszy się do ukrycia Leljusza, który nawiasem powiedziawszy wcale w oznaczonem przez Palmę sklepieniu się nie znajdował — ostrzegł go o grożącem mu niebezpieczeństwie i o pościgu za nim do Brughiery wysłanym. Biednemu zbiegowi nie pozostało nic innego jak przedostać się najprędzej przez Splügen do Szwajcaryi, bez możności uściskania na pożegnanie żony i córki.

Obecnie Idalico po wyprawieniu pana swego w podróż ku północnym brzegom puszczy, wracał do domu do Cardano. W koszach przymocowanych na grzbiecie muła, znajdował się piasek, ażeby w danym razie mieć wymówkę wobec żandarmów, po co do Brughiery się udawał.

O zniknięciu Palmy nic dotychczas nie wiedział. Gdy muł jego przechodził w pobliżu, gdzie Palma leżała, zarżał naraz i nagle skierował się ku gąszczom. Zwierzę poczuło dziecko, które nieraz, gdy przybywał do Gallaraty, cukrem i chlebem je karmiło.

Idalico wiedzący dobrze że muł, więcej rozumu od niego posiadał, zaczął przepatrywać krzaki i znalazł martwym snem ujętą Palmę. Od razu domyślił się, że dzieciątko udało się do puszczy, ażeby odszukać ojca, lecz nieznając wszelkich przesmyków, zbłąkane tutaj odpoczywa. Starał się ją rozbudzić, lecz wszelkie usiłowania okazały się daremnemi — serce tylko biło jeszcze słabo, a piersi oddechem zaledwie się poruszały. Chwilę postał, namyślając się co dalej robić należy. Wreszcie wysypał piasek z koszy, nasłał w nie zielonych gałązek i na nie ułożył pozbawione czucia i ruchu wątłe ciało Palmy. Przykrył je znowu gałęziami, przymocował, ażeby nie wypadło i śpiesznie ku Gallaracie się skierował.

Na rogatce go zatrzymano. Odkrył część nieruchomie leżącej Palmy tłomacząc, iż to własne, mocno chore wnuczę do szpitala wiezie. Celnicy po zrewidowaniu koszów, czy

nic zakazanego nie wiezie, puścili go do miasta i niezadługo Palma we własnem swem łóżeczku się znalazła.

Wiele dni jednakże minęło, zanim starania matki i najczulsza jej opieka objawy ciężkiej niemocy pokonały a Palma przytomność odzyskała.

Pierwsze słowa, które wtenczas głośno wypowiedzieć zdołała, były:

— Nic nie powiedziałam! Powiedz matko ojcu, że go nie zdradziłam, że umiałam *milczeć*...

Drżąca ze wzruszenia Sylwia przycisnęła tylko usta do czoła ukochanego dziecka.

KONIEC.

Oj ty wichrze!

Oj ty wichrze! ty od morza
Czemu się tu walisz?
Czy ty myślisz, że nam wszystkie
Już chaty obalisz?
Czy ty myślisz, że połamiesz
Wszystkie drzewa w lesie,
I ty myślisz, że jęk płaczu
Szum twój w dal rozniesie?

Oj ty wichrze — ty szkaradny,
Co się darmo srożysz?
Huczysz — szumisz — a nas przecie
Nie tak bardzo trwożysz...
Choć opadnie gałąź z drzewa,
Korzeń niewzruszony,
Choć ze strzechy snopek weźmiesz
Dom nie pochylony.

Oj ty wichrze — nie od teraz
Twoje gromy biją...
Ale u nas kwiaty rosną
I ptaszęta żyją...
Naszych pieśni nie zagłuszysz,
Nie zagasisz słońca —
Wiejesz — huczysz — lecisz — szumisz
Doczekasz się końca!

Oj ty wichrze — ty od morza!
Przyjdzie chmura taka,
Która zmieni lot twój silny
Jak srogiego ptaka,
Bo nie zawsze z jednej strony
Chmura się przewala —
Czasem chmura się obraca
I dęby obala.

Oj ty wichrze — nie psuj skrzydeł
Nie wytężaj siły —
Nie obalisz wszystkich chatek,
Nie dasz nas w mogiły...
Nie wysuszysz wszystkiej wody,
Nie zgasisz nadziei...
Nie zaginiem piaskiem marnym
Wśród twojej zawieji.

Jadwiga z Z. S.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy.)

Sędzia przyjeżdżał zawsze jeszcze co kilka dni, ale dotychczas odkładał ciągle urzędowe przesłuchanie markiza. Wiedział, że się niczego od niego nie dowie i że nic go nie nagli, otrzymał bowiem wiadomość od nadprokuratora z Paryża, że sprawa morderstwa w zamku Saint-Luc została odłożona pod rubrykę „niewyjaśnionych" i że oddawna już przestano się nią zajmować. Hrabia Lucyan dowiódł swego alibi i żadne już na nim nie ciężyło podejrzenie, a chociaż Servan innego był zdania, to chwilowo jednak musiał milczeć. W każdym razie postanowi przy sposobności zapytać markiza, co sądzi o tej tajemniczej sprawie i kazał mu powiedzieć, aby sam wyznaczył dzień i godzinę urzędowego przesłuchania. Markiz jednak nie spieszył się z tem wcale.

W końcu grudnia przybył Lemarche do zamku, aby przepędzić tutaj święta Bożego Narodzenia i uniknąć wrzawy, jaka zawsze w tym czasie panuje w Paryżu. Lucyan nie dawał znaku życia o sobie, a ponieważ fabrykant nie wspominał także o nim, przeto Viola zapytała go wprost o kuzyna. Co się dzieje z Lucyanem? — rzekła pewnego dnia. — Słyszałam, że wybiera się do Ameryki, czy to prawda?

— Ani myśli! Pracuje u mnie, we fabryce!

— Doktor Border był niedawno w Amiens i powiedziano mu tam, że jeżeli Lucyan nie pojedzie do Nowego Yorku, to pan zamianujesz go swoim pełnomocnikiem.

Lemarche zmarszczył tak groźnie czoło, że Viola zdumiała.

— Co się panu stało? — zawołała zmieszana, — czy obraziłam cię mimowoli mojem pytaniem?

— Nie, drogie dziecko, wcale nie, ale abyś po raz drugi nie stawiała mi podobnego pytania, powierzę ci pewną tajemnicę, przyczem proszę cię o niewyjawienie jej nikomu! Przyrzekasz mi dyskrecyą?

— Naturalnie, skoro pan tego żądasz!

— Słuchaj więc! Posadę, o którą się kuzyn twój tak usilnie stara, przeznaczyłem dla kogoś innego, a tym innym jest — Gaston!

— Gaston! — zawołała Viola, nie dowierzając własnym uszom.

— Tak! Dyrektor, u którego pracuje wystawił mu jak najlepsze świadectwa, i powiedział mi sam, że Gaston jest o tyle znakomitym chemikiem, o ile dzielnym jest inżynierem. Takiego człowieka potrzebuję koniecznie! Najpierw wezmę go na pomocnika do mego biura prywatnego, a potem.....

— Ależ w takim razie przyszłość jego zapewniona! — szepnęła Viola ze łzami w oczach.

— Tak moje dziecko! Czy myślisz, że nie widziałem, ile ty w tym domu wycierpiałaś, bez słowa skargi?·I myślisz, że nie miałem zamiaru wynagrodzenia ci tej krzywdy? Chociażbym nawet nie kochał Gastona tak, jak go kocham, to uczyniłbym wszystko dla niego, przez wzgląd na ciebie! Wszakże i ty poświęciłaś się dla dziecka kobiety, która ci dokuczała i z powodu której tyle znosiłaś przykrości!

W tej samej chwili dał się słyszeć w przyległym pokoju lekki szelest; biała, drobna rączka dziewczęca rozsunęła portyery i Gina stanęła przed nimi. I ona zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Była to poważna, dorosła panna, ale wesoły uśmiech zniknął z jej ust, a wielkie, błękitne oczy zdawały się być zawsze przysłonięte łzami. Gdy teraz ujrzała Violę, przybiegła do niej i objęła czule jej szyję.

— Słyszałam twoje ostatnie słowa — zawołała całując serdecznie jej bladą twarz — i muszę ci powiedzieć, że i ja kocham cię bardzo, więcej nawet, niż myślisz!

Pan Lemarche wzruszony patrzał na obiedwie i cieszył się ich szczerem, wzajemnem przywiązaniem, a ponieważ Horacy

wracał teraz prędzej do sił, przeto uspokojony, wyjechał w najbliższych dniach do Paryża.

Ogólna radość zapanowała w zamku, gdy markiz po raz pierwszy zeszedł do swej biblioteki i zabrał się znowu do zwykłej pracy z Bisonem. Gdy zaś powietrze ociepliło się nieco, wychodził na przechadzkę do ogrodu i to zawsze w towarzystwie Violi i Giny.

Pewnego razu zapytał Violi zupełnie niespodzianie:

— Kiedy był sędzia w zamku?

— W przeszłym tygodniu i kazał ci powiedzieć, że przyjdzie znowu jutro.

— Dobrze, jeżeli o mnie zapyta, to przyślij go zaraz do mego pokoju. Chcę się z nim rozmówić.

Po tych słowach wziął kapelusz i laskę i zbliżył się ku drzwiom.

— Mam iść z tobą? — rzekła Viola, wiedząc, że samotność źle wpływa na jego usposobienie.

— Nie, — odparł stanowczo. — Tam, dokąd mam zamiar się udać, nie może mi nikt z was towarzyszyć.

I znaczyło to tyle, że chciał iść do grobowca i pomodlić się za duszę zmarłej żony. I rzeczywiście poszedł do parku, ale zamiast zwrócić się, jak zwykle na prawo, w stronę grobowca, przeszedł główną aleją i usiadłszy w małej, zacisznej altance, w głębokich pogrążył się myślach. Gdy potem podniósł głowę, błyszczały łzy w jego oczach.

— Mój Boże, szepnął przytłumionym głosem, — jakże jestem nieszczęśliwym. Zdaje mi się, że wiem, kto zamordował Laurę, a jednak nie wolno mi shańbić naszego nieskalanego nazwiska!

Tego dnia zamknął się w swoim pokoju i z nikim już rozmawiać nie chciał.

Nazajutrz przybył sędzia Servan. Markiz przyjął go natychmiast, ale widać było, że przymuszał się do swobodnej rozmowy i że dziwnie był zmieszany i niespokojny.

— Czujesz się pan dziś dosyć silny, — zaczął sędzia, aby mi odpowiedzieć na kilka pytań? Jestem tu nie jako przyjaciel, tylko jako urzędnik!

— Wiem o tem i jestem gotów.....

— Wiadomo panu, wobec jakiej tutaj stoimy tajemnicy! Albo czy przypuszczasz, że markiza popełniła samobójstwo?

— Nie! odrzekł Horacy stanowczo. — Laura była szczęśliwą i nie miała najmniejszego powodu do odebrania sobie życia. Czyn taki nie odpowiadał wcale jej charakterowi!

— Podzielam zupełnie zdanie pana. Zamordowano ją, ale kto i jak i czemu? Na to pytanie nie mamy dotychczas odpowiedzi. Masz pan na kogo podejrzenie?

— Nie!

Sędzia postanowił wywrzeć większe na markizie wrażenie, całkiem więc niespodziewanie zapytał teraz?

— Ani na hrabiego Lucyana?

Horacy zbladł.

— Zkąd? zawołał wyniośle. — Co to ma znaczyć?

Sędzia milczał, ale po chwili zapytał znowu:

— Istnieje w zamku jaki tajemny ganek?

Pomimo, że markiz spodziewał się tego pytania, to jednak zadrżał mimowoli.

— Nie wiem o tem, — odrzekł krótko.

Servan patrzał badawczo na niego, jak gdyby pragnął odgadnąć najtajniejsze jego myśli.

— Ganek taki musi tu istnieć, zawołał, — w inny bowiem sposób nie mógł morderca wejść do pokoju markizy. Chociażbyś mi pan wyznał, że znasz ów ganek, to jednak nie wiedzielibyśmy jeszcze, kto zbrodnię popełnił, ale moglibyśmy może odkryć prędzej winowajcę. Możesz mi pan zaręczyć słowem honoru, że takiego ganku nie ma tutaj?

— Żałuję, że mi pan nie wierzysz, ale daję słowo, że nigdy innej odpowiedzi odemnie nie otrzymasz!

— Czas odkryje nam to, co pan chcesz przed nami ukryć, rzekł sędzia. — Żegnam pana!

I nie podając markizowi ręki, wyszedł. Był teraz więcej niż kiedykolwiek przekonanym o istnieniu tajemnego ganku i wiedział, że Horacy zna go, a może nawet Lucyan także. Ale kto był właściwym mordercą? Na tem właśnie polegała cała ta nieszczęsna tajemnica.

Po odejściu Serwana, upadł markiz przygnębiony na krzesło.

— Nie zniosę dłużej tej strasznej niepewności, pomyślał, załamując ręce, to przechodzi moje siły!

Wieczorem tego samego dnia wysłał telegram do brata, wzywając go, aby natychmiast przybył do Saint Luc, a na drugi dzień rano przybył Lucyan, zdziwiony mocno tem życzeniem markiza.

Horacy zdawał się nie widzieć ręki, którą mu Lucyan podał na powitanie i poszedł z nim zaraz do swego pokoju, zamknąwszy starannie drzwi na klucz.

— Raz przecież trzeba nam tę rzecz wyjaśnić, zaczął bez wszelkich wstępów.

— I ja tego pragnę, odparł hrabia. Gdy leżałeś w gwałtownej gorączce, wyrzekłeś kilka okropnych słów, ale ja uważałem je za majaczenie ciężko chorego człowieka. Byłem też aż nadto przekonanym, że mając przytomność, nie oskarżałbyś mnie o zamordowanie twej żony! I chociażbyś to nawet przypuszczał, to musiałbyś uznać moję niewinność, bo w dwóch miejscowościach nie mogę być równocześnie.

Horacy powtórzył mu dosłownie wczorajszą swoją rozmowę z sędzią, poczem dodał poważnie:

— A teraz ja pytam ciebie, czy wiesz o istnieniu tajemnego ganku w naszym zamku?

Lucyan z nieudanem zdziwieniem spojrzał na brata.

— Czy coś podobnego jest tu rzeczywiście? zawołał. Nie chciałem nigdy w to wierzyć, ale przysięgam ci na zbawienie mej duszy, że ja nic o tem nie wiem!

Horacy odetchnął, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z serca. Potem podał bratu rękę i rzekł wzruszony:

— Wybacz mi, ale nie dziw się, jak okropnie cierpiałem pod wpływem tego podejrzenia! Jeżeli ty jednak nie znasz tajemnego ganku, to oprócz mnie, któremu ojciec tajemnicę tę odkrył, musi jeszcze ktoś inny wiedzieć o jego istnieniu. W ten sposób tylko można sobie wytłómaczyć, że morderca wszedł i wyszedł tą samą drogą!

— Więc ganek ten prowadził rzeczywiście do pokoju twej nieszczęśliwej żony? zapytał Lucyan z powątpiewaniem.

— Tak. Pokój ten służył od niepamiętnych czasów za sypialnią markizom de Saint Luc, a ganek ów miał im być schronieniem w razie niebezpieczeństwa, Ojciec mówił mi, że matka nasza nie wiedziała nic o istnieniu tego ganku, ale byłem przekonanym, że później powiedział jej o tem, i że ona tobie jako swemu ulubieńcowi, tajemnicę tę powierzyła!

— Nie, nie, przysięgam ci, że ja o niczem nie wiem, — zawołał Lucyan żywo. — Możesz też być pewien, że matka o istnieniu ganku żadnego nie miała pojęcia, bo inaczej nie byłaby spała w tym pokoju. Wiesz przecież, jak się wszystkiego lękała, w ostatnich czasach musiała nawet Viola spać z nią i co noc budziła ją matka, aby wstała i patrzała, czy wszystkie drzwi są pozamykane.

— Tak, to prawda i dlatego proszę cię raz jeszcze, wybacz mi! Cierpiałem okropnie pod wpływem tego podejrzenia. Wobec Servana poniżyłem się nawet do kłamstwa — po raz pierwszy w mem życiu!

— Więc uważałeś mnie za zdolnego do popełnienia takiego czynu? — zawołał Lucyan drżącym głosem. — Ale mam cię ostatecznie za wytłumaczonego, byłeś ciężko chorym i nie mogłeś zebrać myśli! Przypuśćmy więc, że wszystko to było przykrym snem tylko!

— Oby cała ta sprawa była snem! — szepnął Horacy smutnie. — Jakże można przypuszczać, aby ktoś obcy znał tajemnicę naszego zamku i wyzyskał ją dla popełnienia zbrodni!

— Rozważmy tę rzecz spokojnie. Kiedy ojciec powiedział ci o tym ganku?

— Gdy skończyłem lat ośmnaście. Czasy wojen domowych i oblężeń minęły wprawdzie, rzekł mi, — zamek nasz przestał też już być warownią, ale rewolucya może się zawsze jeszcze powtórzyć. W tym razie więc może ci służyć tajemny ganek, o którego istnieniu nikt nie wie. W r. 1791 ocalił on życie waszemu dziadkowi, jego żonie i dzieciom, bo podczas kiedy rozbestwiony tłum wpadł do zamku, uciekł markiz z rodziną tajemnym gankiem i dostał się szczęśliwie do miasta, a ztamtąd wyjechał do Anglii. Ojciec kazał mi przysiądz, że nikomu o tem nie powiem, chyba później mojej żonie i najstarszemu synowi, i pokazał mi wejście do ganku.

— Ale gdzie on jest i jakim sposobem można wejść do pokoju twej żony? Architekt szukał go tak pilnie, agent policyjny również, a żaden z nich znaleźć go nie mógł!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nasze illustracye.

Władysław Warneńczyk.

(W rocznicę nieszczęsnej bitwy pod Warną dnia 10 Listopada 1444)

(Do illustracyi albumowej.)

Syn Władysława Jagiełły i Zofii, księżniczki holszańskiej, ur. w r. 1424, wstąpił na tron po śmierci ojca, w r. 1434. W imieniu małoletniego króla rada koronna sprawowała rządy. Ster jej dzierżyły potężne rody małopolskie, związane z sobą węzłami krwi i powinowactwa; utrwala się ich znaczenie, zdobyte z chwilą powołania Jagiełły, utwierdzone za jego panowania. Nad wszystkiemi góruje powaga Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego. Sama rada rozporządza opróżnionemi dostojeństwami, kierując się zasadą stopniowego wstępowania z niższych szczebli na wyższe; wstęp do tego koła rządzącego otwarty jednak dla krewnych, powinowatych, przyjaciół szczuplejszego kółka, które w radzie koronnej zdobyło sobie większość. Tak, pod przewodem Oleśnickiego, wytwarza się oligarchia, świadoma swoich celów, silna, sprężysta, wobec przeciwników bezwzględna. Znać to w szybkiem, doraźnem zgnieceniu wrogów rządzącego stronnictwa, którzy przysięgli się przeciw niemu, pod wodzą Spytka Melsztyńskiego.

Początek nowych rządów uwieńczony świetnem powodzeniem w epilogu wojny domowej na Litwie. W roku 1435 Świdrygiełło jeszcze raz próbuje szczęścia, wytęża wszystkie siły; wsparty pomocą mistrza inflanckiego, wiedzie do boju przeciw Zygmuntowi wierne białoruskie zastępy; walne zwycięstwo Litwy i Polaków pod Wlikomierzem ocala zagrożoną unią, utwierdza byt Jagiellońskiej monarchii, panowanie Jagiellońskiej dynastyi w obydwu jej połowach. I znów, jak za Jagiełły, nastręcza się sposobność rozszerzenia dynastycznego związku państwa ku Zachodowi. Po śmierci cesarza Zygmunta narodowe stronnictwo w Czechach ofiaruje koronę św. Wacława młodszemu bratu króla polskiego, Kazimierzowi. W roku 1438 dom Jagielloński staje po raz pierwszy w szranki z domem Habsburskim; Albrecht, zięć Zygmunta i następca jego w Cesarstwie, utrzymuje się na tronie czeskim; pierwsze starcie w długiem pasmie spółzawodnictwa obu dynastyi kończy się porażką Jagiellonów. Niedoszły król czeski, Kazimierz Jagiellończyk, obejmuje niebawem rządy na Litwie, po upadku Zygmunta Kiejstutowicza, którego w r. 1440 zmiotła ręka spiskowców.

Tymczasem już od roku 1438 sam Władysław, uznany pełnoletnim, objął rządy królestwa, zaprzysiągłszy wszystkie przywileje, które oligarchia zdobyła na Jagielle i na Ludwiku.

Rok 1440 otwiera niespodzianie nowe widnokręgi domowi Jagiellońskiemu: stany węgierskie obierają królem młodocianego Władysława, po przedwczesnej śmierci Albrechta, który pierwszy z Habsburgów połączył był przelotnie dzierżawy austryackie z krajami czeskiej i węgierskiej korony. W odwet za dwukrotne niepowodzenie w Czechach, potęga dynastyczna rodu Jagiellońskiego rozrasta się ku południowi, po brzegi Adryatyku, w głąb bałkańskiego półwyspu; zwierzchnictwem nad obydwoma hospodarstwami wołoskiemi dosięga Morza Czarnego. Zanim jednak szesnastoletni pan obu królestw stanął za Karpatami, Elżbieta, wdowa po Albrechcie Habsburskim, powiła syna, któremu dziwną igraszką losu dostało się także imię węgierskiego patrona, Władysław. Na Węgrzech zawrzała wojna domowa, zabrzmiały wrogie hasła dwóch nieprzyjaznych obozów: Jagiellończyk i Pogrobowiec; król wybrany musiał wystąpić w szranki z niemowlęciem w koronie, z królem dziedzicznym. Przez dwa lata zawikłania wojny domowej krępowały Jagiellończyka; w grudniu r. 1442 stanęła dopiero ugoda z Elżbietą dozwalająca mu skupić wszystkie siły ku głównemu zadaniu, jakie w tej chwili czekało króla Węgier, ku walce z półksiężycem.

Od dawna już Turcy byli panami bałkańskiego półwyspu, ludy słowiańskie na stokach Bałkanu gięły się pod przemocą Islamu, Cesarstwo Wschodnie broniło stolicy i ostatnich strzępów swych dzierżaw resztkami sił wyczerpanych. Niepokonana potęga półksiężyca szarpała groźnie granice węgierskiego królestwa. Z Rzymu rozlegało się głośne hasło krucyaty; ku obronie Zachodu chrześcijańskiego, którego przedmurze już było zagrożone; na ratunek upadającego Bizancyum, które w przededniu ostatecznej ruiny podało Rzymowi rękę w unji florenckiej r. 1439. Papież Eugeniusz IV całą nadzieję pokładał w młodym Jagiellończyku, na którego skroniach spoczęły dwie korony. Jeszcze nie przebrzmiały były wspomnienia wielkiej szyzmy, w której urok papiestwa tak zbladł i przygasł: zawzięta walka wrzała między papieżem a bazylejskim soborem; Bazylejczycy złożyli Eugeniusza z godności, obrali antypapę. Dzieło unii kościelnej, szczęśliwie dokonane, wespół z pogromem Islamu, z ocaleniem chrześjańskiego Wschodu, pogodzonego z Rzymem, miały podnieść powagę i znaczenie Stolicy Apostolskiej na wyżynę epoki Innocentych i Aleksandrów. A młody Jagiellończyk, żądny zasług i chwały, zerwał się do wielkich czynów, do bohaterskich zapasów. Dla państw, skupionych pod berłem Jagiellonów nie było żywotniejszej sprawy od tego dzieła, w imię którego Eugeniusz IV podniósł hasło krucyaty. W walce z Turcyą chodziło o byt Węgier; unia kościelna miała zasklepić rysę, która groziła rozbiciem monarchii litewskiej; już Jagiełło marzył o unii, Witołd nad nią pracował, bacząc na przeciwieństwo dwóch żywiołów składowych Litwy, kościelnych i narodowych; za rządów Władysława, z Florencyi podążył do ruskiej swej metropolii Izydor, metropolita kijowski a kardynał rzymskiego kościoła, gorący apostoł zjednoczenia obu kościołów. Król wydał mu 22 Marca 1444 dyplom, równający prawa ruskiej cerkwi z prawami kościoła łacińskiego.

Jagiellończyk przejęty był głęboko zadaniem, które spadło na młodociane barki. „W imię wiary katolickiej,“ mówił „wiary świętej, którą mój ojciec rozpostarł tak szeroko, narzucono mi to królestwo szarpane wojną i rozterką domową . . . Bóg mi błogosławił, jestem prawym dziedzicem mojego ojca, dane mi jest poświęcić się za wiarę, dla dobra chrześcijaństwa.“

W jesieni r. 1443 wyruszył na wojnę krzyżową, przy nim legat papieski, Julian Cesarini; czterdzieści tysięcy wojska stanęło pod sztandarami. Zwycięstwo po zwycięstwie słały drogę chrześcijańskim zastępom, w głąb Bałkanów zawianych śniegiem. Zima zmusiła króla zaprzestać tryumfalnego pochodu, 2 Lutego 1444 r. stanął z powrotem w zamku budzińskim. Sława pogromcy Turków rozległa się po wszystkich chrześcijańskich królestwach, zewsząd przed tron Jagiellończyka przybywały poselstwa, niosąc hołd zwycięstwom, życząc nowych wawrzynów. Gotowała się druga wyprawa; Sułtan Murad prosił o pokój, ofiarując takie warunki, o jakich przed wojną przeszłoroczną nikt nie zamarzył. 1. Sierpnia 1444 zawarto w Szegedynie pokój; w kilka tygodni potem Władysław stał na czele wojska, które spiesznie podążyło na pogrom Turków, brzegiem Dunaju i Morza Czarnego. Od strony morza liczono na spółdziałanie floty, złożonej z galer papieskich, weneckich, aragońskich, burgundzkich i medyolańskich; w Epirze powstał dzielny Skanderberg przeciw Turkom, oczekiwano posiłków serbskich pod wodzą Jerzego Brankowicza.

Wszystko zawiodło. Flota nie spełniła głównego swego zadania; sułtan przeprawił się szczęśliwie z Azyi przez Dardanele i podążył na pomoc zagrożonym załogom tureckim w Bułgaryi. 10 listopada, pod Warną spotkały się wojska chrześcijańskie z przeważnemi siłami Turków, którym przywodził sam sułtan Murad. Krwawy dzień zakończył się zupełnym pogromem chrześcijan, młody król padł na placu boju. Bitwa warneńska rozstrzygnęła na długie wieki losy ludów bałkańskiego półwyspu; nad Serbami, Bułgarami i Wołoszczyzną zaciężyło jarzmo tureckie, w dziesięć lat potem upadł Konstantynopol.

Stanisław Smolka.

TEATR.

W zeszły piątek i sobotę odegrano tragedyą Adama Asnyka: *„Kiejstut“*. Na tle historyi Litwy rozgrywało się dzięki wiecznym najazdom Krzyżaków mnóstwo krwawych dramatów. Chytry Krzyżak umiał zręcznie osłabiać elementarną siłę litewskiego narodu, waśniąc książąt litewskich między sobą. Stary Kiejstut, pogański książę, rozumie jeden tę politykę krzyżacką i stara się Litwę powaśnioną pogodzić i Krzyżaków z litewskich spraw wykluczyć. Upada w końcu, ulegając krzyżackiej przemocy, a bratanek jego, Jagiełło, wtrąca go do niewoli, zniewolony prośbami mściwej siostry swej Maryi. Marya poprzysięgła Kiejstutowi zemstę, że oddał przed sąd męża jej Wojdyłłę, —

na którym wykonano wyrok śmierci. W niewoli mordują Kiejstuta najemnicy Maryi mimo obrony Krzyżaka Konrada, Kiejstutowego syna, którego historya znana z poematu Mickiewiczowskiego.

Pan Ryger jako Kiejstut był wcieleniem rycerskiej siły i szlachetności. — Jak stary, potężny dąb, pod którego konarami Litwa spokojnie rozwijać się mogła, — mąż bez trwogi, dusza bez zmazy. Dzielnym był pan Borawski (Wojdyłło). Pan Stradiot jako Konrad, stał zdaje mi się, na gruncie najbardziej sobie odpowiednim. Nie pamiętam go równie grającego. W ostatnim akcie miał kilka chwil szczerego uczucia, które umiało przekonać. Tak samo pani Stradiotowa nie grała nigdy tak dobrze, jak w roli Maryi. Cieszy mnie bardzo, że nie omyliły mnie horoskopy, które o jej talencie stawiłem. Najlepiej umie się wżyć w ton silnej, podniosłej tragiki; wtedy i głos jej nabiera dźwięków właściwych. Szkoda tylko, że niepotrzebnie z początku szafuje głosem, tak, że w końcu przy długich scenach nie może się zdobyć na potrzebną gradacyą. Pani Stogniewska jako Aldona, umiała trafić w liryczny ton swej roli. Pan Malski jako Krzyżak Kuno był również lepszym, jak zwykle, tak, że stworzona przez niego postać układała się w gładką i estetyczną całość.

W niedzielę ubiegłą dano premierę: „*Pracownice igły*“, melodramat, grany wielokrotnie w warszawskim teatrze ludowym. Treść: życie szwaczek; fabuła z warszawskiego bruku. Pomimo ogromnie szkicowego traktowania charakterów, niektóre typy naznaczone bardzo wyraźnie. Jedna szwaczka wychodzi za mąż, druga staje w końcu również szczęśliwie na ślubnym kobiercu — z dawnym swoim wielbicielem — wyprawiwszy poprzednio — chrzciny. Grano tym tonem, specyficznym dla melodramatów. Wspomnę jedną postać, która podtrzymywała w pełnem humoru i temperamentu wcieleniu p. Solnickiego, komiczny żywioł na scenie: Kacperka.

Ali.

wela z czasów Zygmunta III-go, nadzwyczaj zajmująca.

14. **Miłość bez granic,** obszerniejsza, oryginalna powieść Alfreda Gorowskiego, osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863; powieść ta jest niezwykle zajmująca i obejmuje blizko **300 stron.**

Kto zatem zjedna choćby tylko jednego abonenta na „Pracę“ lub też „Czytelnię Polską“ i nadeśle odnośny kwit pocztowy wraz z własnym kwitem, temu prześlemy natychmiast jednę z powyższych książek, którą czytelnik sam oznaczyć zechce.

Za każdego pozyskanego abonenta ofiarujemy jednę książkę; kto więc postara się o kilku abonentów, ten otrzyma też kilka książek.

Wiadomości.

— **Rewizyą ścisłą** kilkogodzinną przedsięwzięło w dzień Wszystkich Świętych przed południem kilku komisarzy tutejszej policyi politycznej z wyższym urzędnikiem tejże policyi na czele w towarzystwie kilku policyantów we wszystkich lokalach wydawnictwa.

Przetrząśnięto szczelnie wszystkie biurka, szafy, szafki, szufladki, wogóle wszystkie kąty i zabrano ponownie te same papiery, które poprzednio już dwa razy zabrano i następnie wydano. I tym razem zabrane papiery zwrócono nam już dnia 5-go b. m.

Nadmieniamy, że wydano nam także wszystkie najpierw w Wrocławiu, a następnie raz jeszcze w Poznaniu przyarestowane broszury i papiery, zaznaczając w odnośnem piśmie wyraźnie, że ani treść broszur, ani treść listów nie zawiera zgoła nic karygodnego.

— **Proces akademików.** Po blisko czteromiesięcznej przerwie rozpoczął się dnia 4-go b. m. przed tutejszą drugą izbą karną sądu ziemiańskiego proces przeciwko 14 akademikom i byłym akademikom, oskarżonym o rzekomą przynależność do tajnych stowarzyszeń. Sprawozdanie z procesu podamy w następnym numerze. W chwili, gdy niniejszą notatkę oddajemy do druku (czwartek przed południem) wyrok jeszcze nie zapadł.

— **Düsseldorf,** 28 paźdz. 1901.

Szanowna Redakcyo!

Z powodu aresztowania p. dra Rakowskiego wyrażają niżej podpisani swe współczucie Szanownej Redakcyi.

Cześć p. dr. Rakowskiemu!

Z głębokim szacunkiem

Michał Zydlewicz. J. Kierblewski. Stanisław Grobelny. St. Kolenda. Wojciech Przybył. Wojciech Poniedziałek. Walenty Beiger. Jan Fibikowski, P. Żuraw. L. Szmańda. A. Dejermann. Tomasz Wojcieszak, M. Dudyński.

Towarzystwo Polskie „Polonia.“

Przewodniczący J. Kierblewski. Sekretarz M. Zydlewicz.

— **Herne,** 3. 11. 1901.

Szanowna Redakcyo!

Z boleścią wyznajemy i czujemy cios nasz spotkany przez aresztowanie dra Rakowskiego; w uznaniu jego zasług zasyłamy pozdrowienie dla „Pracy“ i szanownego więźnia.

Czołem!

P. Barciniak. Ludwik Pohl. M. Lewicki. Władysław Małkowski. Władysław Rogoziński. Wiktor Kalinowski. Ig. Kwaśniewski. Stanisław Barciszewski. A. Janowski, naczelnik. Domżalski, Kruświca.

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 9-go b. m. daną będzie po raz pierwszy subtelna i zajmująca komedya Bissona z francuskiego p. t. „Historyczny zamek“ czyli „Znakomici.“ Utwór ten przyjęto w tych dniach w Krakowie z zachwytem i uznaniem.

W niedzielę, dnia 10-go b. m. wieczorem po raz drugi toż samo, a po południu o 3 niezawodnem ciesząca się powodzeniem opera narodowa w 3-ch aktach K. Kurpińskiego: „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale.“ Ceny do połowy zniżone.

Bilety zamówione rezerwuje kasa teatru każdego dnia tylko do godziny 1-ej w południe.

— **Dla wydalonych gimnazyastów** złożył p. Maryan Zakrocki ze Swadzimia 17 mrk. 15 fen., zebranej składki w pewnem towarzystwie.

Dotąd na ten cel złożono 27 m. 15 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Na odbudowanie wieży** na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. Rozalia Kaiser 3 mrk., Janina Roth 1 mrk., Anna Kura 25 fen., wszyscy z Berlina.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 600 mrk. 59 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Fotografie** najnowsze mistrza Paderewskiego poleca pierwszorzędny renomowany zakład fotograficzny p. Maćkiewicza (Iris) w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 11. W zakładzie Iris wykonują się wszelkie zamówienia podług najnowszych ulepszeń.

— **Zakład dentystyczny** p. M. Szymańskiego w Poznaniu przy ulicy Wielkie Garbary nr. 8, polecamy względom Szanownych Czytelników. Najrzetelniejsze wykonanie, najtańsze ceny. Młody ten i rzutki przemysłowiec zasługuje na szczere poparcie.

— **Panna** Eleonora Dzwonkowska otworzyła w Kępnie skład stroju kapeluszy. Polecamy to nowe przedsiębiorstwo naszej rodaczki łaskawym względom Szanownych pań. — Panna E. Dzwonkowska kształciła się w tym zawodzie w jednej z pierwszorzędnych firm w Dreźnie. — Życzymy jej jak najlepszego powodzenia.

— **Mogilno,** 3 listopada. Pan Józef Stark z Mogilna sprzedał i zaraz przewłaszczył 1) posiadłość Wilatowo Nr. 132 panu Sylwestrowi Lewickiemu. 2) posiadłość Budy palędzkie Nr. 1 p. Pawłowi Okońskiemu. Po rozparcelowaniu folwarku Leśnika starał się p. Stark o zezwolenie na nowe budowle dla p. Michała Andrzejewskiego u władz tutejszych, ale bez skutku, poczem zrobił zażalenie do regencyi w Bydgoszczy i to odniosło skutek. Andrzejewski budowle natychmiast rozpoczął i już ma dom pod dachem.

— **Slub.** Dnia 8go października w kościele farnym w Poznaniu został pobłogosławiony związek małżeński przez ks. Ludwiczaka z Opatowa w asystencyi dwóch księży panny Władysławy Iwaszkiewiczówne j z p. Józefem Ludwiczakiem z Chemnitz (Saksonia.)

Szczęść Boże młodej parze!

— **Z życia towarzyskiego.** Dnia 5 b. m. pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Lubiniu pod Krzywiniem związek małżeński pomiędzy p. Józefem Kalasantym Rakowskim, nauczycielem z Wieszkowa w powiecie kościańskim, a panną Zofią Chmarówną z Wrześni. Nowożeńcom zasyłamy najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności. Szczęść im Boże!

— **Opatów,** 16. 10. 1901. W dniu 15 października t. r. opuścił tutejszą parafią opatowską wikaryusz, ksiądz Jan Ludwiczak, w której przebywał od 1 kwietnia 1901 r. aż do tego czasu. Został przeniesiony przez władzę duchowną do Siedlemina koło Jarocina. W tym tak krótkim czasie zjednał sobie ksiądz Jan ogólny szacunek u wszystkich mieszkańców tutejszej parafii i gminy tak co do narodowości jako i religii. Jego gorliwość o służbę Bożą, jako i o przysposobienie dzieci do pierwszej komunii świętej, oraz jego serdeczny i przyjacielski stosunek do parafian, cechuje wzniosły i nieskazitelny charakter gorliwego kapłana. Z bólem serca żegnamy Cię, a jeszcze więcej nasze w żalu

nieutulone dzieci, kochany księże Janie, i życzymy Ci wszyscy wszystkiego dobrego w dalszem życiu. W naszych modłach będziemy błagać Boga, aby Ci raczył udzielić zdrowia do jak najdłuższej oraz gorliwej pracy we winnicy Pańskiej.

Inne gazety prosimy o umieszczenie niniejszego pisma.

Wincenty Betka. Piotr Sieczka. Mateusz Górecki. Piotr Górecki III. Feliks Wąsała. Jan Lorenz. St. Lemanik. W. Biegański. Jan Kasprzak. Stanisław Gąszczak. Ignacy Wabnitz. Teofil Kaczmarek, Józef Kaczmarck. Jan Idczak. Idzi Taras.

Zmarli.

† **S. p. Walery Szulc**, zegarmistrz w Poznaniu, umarł dnia 30-go z. m. Zmarły był przez długi szereg lat prezesem Towarzystwa Przemysłowego, był członkiem Komitetu wyborczego na m. Poznań, a niedawno powierzono mu urząd członka rady nadzorczej Banku Przemysłowców.

Nieboszczyk musiał w ostatnim czasie walczyć z sądami pruskiemi o polskie brzmienie swego nazwiska i już na łożu choroby, kiedy po przebyciu ciężkiej operacyi pasował się ze śmiercią, otrzymał surowy mandat zgermanizowania pisowni swego nazwiska, które przez lat 51 nosił bez ujmy dla potęgi państwa pruskiego. Rodzina jego utrzymuje, że wielkie zmartwienie, które mu tęn mandat sprawił, przyspieszyło jego zgon. R. i. p.

† **S. p. Marya Dembińska**, córka kompozytora i dyrektora p. B. Dembińskiego, zmarła w Poznaniu dnia 5-go b. m. w pełni wiosny życia po długich i ciężkich cierpieniach. Smierć nastąpiła wśród okoliczności tym tragiczniejszych, że ś. p. Marya niebawem miała się połączyć związkiem małżeńskim, zaręczywszy się z p. budowniczym Szramkiewiczem. Zacnemu kompozytorowi „Pieśni o ziemi naszej“, „Zalotów na Kujawach“ i tylu miłych dla ucha polskiego melodyi, oraz jego małżonce zasyłamy w ciężkiej ich boleści słowa serdecznego współczucia.

Ruch w Towarzystwach.

— **Koło Spiewackie Polskie** w Poznaniu urządza koncert wokalno-instrumentalny i zabawę w sobotę, dnia 9-go listopada r. b. na wielkiej sali Lamberta. Początok o godz. 8 wieczorem. Wstęp na koncert 50 fen. od osoby — na zabawę dla zaproszonych panów 1 markę.

— **Nowe Kółko rolnicze.** Za staraniem pana Leona Plucińskiego, właściciela Swadzima z przyległościami w powiecie poznańskimzachodnim zostało w dniu 5-go listopada r. b. przez patrona pana Chłapowskiego, założonem Kółko rolnicze pod nazwą „Kółko w Sadach i dla okolicy.“

Do zarządu wybrano jednogłośnie:

Na prezesa X. prob. Gońskiego z Lusowa; na wiceprezesa p. Leona Plucińskiego z Swadzimia; na sekretarza p. Maryana Zakrockiego z Swadzimia; na skarbnika p. Tomasza Pawlickiego z Lusowa; na ławników pp.: 1), Jana Rogalskiego z Lusowa, 2), Andrzeja Ratajczaka z Sadów, 3), Stanisława Pieluchę z Pokrzywnicy, 4), Stanisława Mrówkę z Tarnowa.

Pierwsze posiedzenie odbędzie się 17-go b. m. a następne co czwartą niedzielę każdego miesiąca o 4-tej godzinie po południu w lokalu, który do tego celu w dworze w Sadach przez pana Plucińskiego ofiarowany został. Kółko to pod tak dzielnym rolnikiem, jakim jest p. Leon Pluciński, ma wszelkie widoki dobrego powodzenia, a za pomocą Bożą wyda owoce błogie. Zebranie zaszczycił gość z Królestwa, pan Stanisław Głogowski z Warszawy. Policyą dla bezpieczeństwa spokoju reprezentowało aż dwóch urzędników w postaci żandarma i woźnego z Tarnowa. Do Kółka przystąpiło 40 członków z panem hr. Stefanem Kwileckim z Jankowic na czele.

(Szczęść Boże! — przyp. Red.)

— **W Borku** dnia 17-go b. m. w niedzielę odbędzie się w sali p. Ofierzyńskiego teatr amatorski. Odegrane zostaną: „Skabmierzanki“ Kamińskiego, krotochwila ze śpiewami. Początek o godz. 8. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O liczny udział uprasza Zarząd.

— **Towarzystwo** Młodych Przemysłowców w Gnieźnie urządza w niedzielę, dnia 10-go listopada r. b. na sali hotelu Europejskiego (Koschnicke), teatr amatorski. Odegrane będą: „Ulica nad Wisłą“, krotochwila w 2-ch aktach z muzyką i śpiewami przez Karola Kucza i „Aby handel szedł“, obrazek ludowy w 1-ym akcie ze śpiewami przez Kazimierczuka. Początek przedstawienia o godzinie pół do 8-mej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O liczny udział szanownego obywatelstwa uprasza

Zarząd.

— **Wrocław.** Jedno z ważnych zadań, które od lat kilku Towarzystwo przemysłowe pielęgnuje, jest Kasa wsparcia dla przechodniów polskich, ludzi wszelkiego zawodu, którzy nie z własnej winy idąc za chlebem w biedę popadają. Aby to przeprowadzić, potrzeba większego nakładu, jak na to zdobyć się mogą tutejsi przemysłowcy. Inteligencya Wrocław zamieszkująca po części wspiera Przytulisko rocznemi składkami, za co każdemu ofiarodawcy służy prawo zgłaszających się do niego odsyłać do kasy Przytuliska, czem się zarazem udaremnia wyzyskiwanie przez niegodnych. Odzywamy się i do Towarzystw przemysłowych, rękodzielniczych w Wielkiem Księstwie Pozn. aby raczyły przystąpić do poparcia zadania naszego, a tem ulżyć niejednemu ze swoich współtowarzyszy znajdujących się w chwilowej potrzebie. Podróżny, mogący się okazać legitymacyą Towarzystwa polskiego, znajduje u nas miłe przyjęcie, radę, a w potrzebie i datek na dalszą drogę.

Zastój w pracy, zbliżająca się zima nakazują nam czuwać i prosić szanownych Rodaków o łaskawe poparcie. Wszelkie datki w pieniędzach i odzieniu uprasza się przesłać na ręce kasyera Przytuliska, p. Jana Grzywaczyka, Junkernstr. 25, 26.

Zarząd Towarzystwa Przemysłowców polskich w Wrocławiu.

— **Wrocław.** Szanownym członkom Towarzystwa Polsko-katolickiego donosiliśmy uprzejmie, że posiedzenia naszego Towarzystwa odbywają się począwszy od 1-go października r. b. regularnie w każdą niedzielę o godz. 7-ej wieczorem. Na powyższe posiedzenia zapraszamy szczerze życzliwych Rodaków, a przedewszystkiem nowo przybywających do Wrocławia, którym na tem zależy, aby wolne od zajęć wieczory niedzielne spędzić pomiędzy Rodakami. Każdego bowiem Polaka święty obowiązek być powinien, zaznajamiać i łączyć się w Towarzystwa, aby uniknąć wielkomiejskiej demoralizacyi-germanizacyi. Takiem Towarzystwem jest w Wrocławiu „Tow. Polsko-katolickie“, które urządzając posiedzenia w wieczory niedzielne, uznaje jako najodpowiedniejszy czas, aby uchronić naszą młodzież od zgubnych wpływów wielkomiejskich.

Mając niedzieję, iż zaproszenie niniejsze skutecznie działać będzie na ożywienie Towarzystwa naszego, pozwolimy sobie w końcu zwrócić szanownym Rodakom uwagę na zabawę, która się odbędzie w niedzielę dnia 10 listopada r. b. o godz. 6-tej wieczorem na małej sali w domu św. Wincentego. Wstęp dla gości 75 fen., członkowie 50 fen. Panie mają wstęp wolny. ZARZĄD.

— **Król. Huta.** Tow. Przemysłowców urządza w niedzielę dnia 10 listopada b. r. nadzwyczajne zebranie połączone z wieczornicą, z wielce urozmaiconym programem, na sali hotelu „Deutches Haus. Początek punktualnie o godz. pół do 7-ej. O jak najliczniejszy udział członków naszych Tow. i osób nam życzliwych prosi Zarząd.

Od Redakcyi.

Lechowi Władkowi. — Wiersza pt. „O miłości braterskiej“ zamieścić nie możemy.

Panu E. K. w Opalenicy. — Wiersz p. t. „Do Matki“ znany i był już zamieszczony w dawniejszych rocznikach „Pracy“ — Nr. 17-ty „Pracy“ zupełnie wyczerpany.

Panu W. K. w Lubliniecach. — Takie sprawy jak Pańska, są wszędzie u nas na porządku dziennym. Szykany pocztowe mnożą się, jak grzyby po deszczu, a wszelkie skargi, zażalenia i t. d. nie osięgają żadnego skutku. Poradź się Pan dobrego prawnika, czyby pocztę zaskarżyć należało. Koperty zwracamy listownie.

Imci Księdzu Ig. M. w Wiedniu. — Dziękujemy najuprzejmiej.

Panu Stefanowi B. (Towarzystwo Przemysłowców polskich w Dortmundzie.) — Odbitka jest zamazana i odczytać względnie odstawić jej nie mogliśmy. Prosimy o pismo czytelne.

Panu Julianowi J. w Friedebergu. — Zgłoś się Pan do seminaryum duchownego w Monachium po informacye.

Pani Zdr. w Jarocinie. — Na razie jesteśmy zaopatrzeni — później może zamieścimy.

Panu Michałowi N. w Gołańczy. — Nieznając treści świadectwa wystawionego przez weterynarza nie możemy Panu co do choroby nierogacizny dać żadnej rady, mianowicie nie możemy radzić do prowadzenia procesu.

Pani M. E. w Inowrocławiu. — W tej sprawie nie możemy pani podać bliższych szczegółów, gdyż biura informacyjnego nie posiadamy. Ogłoś Pani w „Pracy“, a skutek będzie pożądany.

Panu St. W. w Wrocławiu. — Korespondencya nie doszła nas.

Panu T. Malcherczykowi w R. p. L. — Jeżeli Pan chcesz założyć Towarzystwo polityczne, natenczas nie mogą do niego należeć kobiety, uczniowie szkólni lub uczniowie rzemieślniczy, jeżeli zaś ma to być Towarzystwo kościelne, to powinieneś Pan w tym względzie udać się do tamtejszego ks. proboszcza, a on Panu najlepiej poradzi, jak to Towarzystwo urządzić. — Gdyby to nie było czysto kościelne Towarzystwo, tobyś Pan musiał ustawy i spis członków posłać w przeciągu 3 dni po utworzeniu Towarzystwa miejscowej władzy policyjnej.

Grobowce zmarłych królów naszych w Krakowie można, o ile nam wiadomo — każdego czasu zwiedzać.

P. Fr. Wosiek, Bochum, Westf. — „Pracę“ otrzymuje poczta w piątek rano, tak, iż najpóźniej w sobotę po południu musi być na miejscu.

Panu A. Rygus w G. — Ten sam podatek dochodowy, który Pan płaciłeś w Berlinie, musisz Pan płacić także w nowem miejscu pobytu, chyba żebyś Pan udowodnił, że Pański dochód o więcej jak jednę czwartą część dawnego dochodu się zmniejszył, tobyś Pan mógł stawić wniosek o zmniejszenie podatku.

Panu Rożnowskiemu w Gostyńskiem. — W tej sprawie nie jesteśmy kompetentni. Udaj się Pan do radzcy zdrowia, p. dra Franciszka Chłapowskiego w Poznaniu przy ulicy Wiktoryi.

Panu Janowi B. w Kruświcy. — Mimo najszczerszych chęci — nic Panu o tej rodzinie, jej potomkach i t. d. donieść nie możemy.

Panu W. Murachowi w Nakle. — Tych albumowych rycin już nie posiadamy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

Otwarcie nowego interesu
w Kępnie!

Wielmożnym Paniom miasta **Kępna i okolicy** uprzejmie donoszę, iż z dniem 1-szym października otworzyłam przy ulicy Rychtalskiej w domu p. Marszałka

skład stroju kapeluszy.

Mojem zadaniem będzie Szanowne Panie starannie, rzetelnie i skoro obsłużyć, upraszam zatem o łaskawe względy i trwałe poparcie mego nowego przedsiębiorstwa i kreślę się 788

Z uszanowaniem

Eleonora Dzwonkowska.

Kępno, w listopadzie 1901.

Upraszamy przekonać się!



Wielki złoty medal.

Kraków 1900.



Wiślankę

najsmaczniejszą nalewkę owocową i

Botanik

najwyborniejszy likwor żołądkowy poleca

Fabryka likworów

Marczyński & Klóskowski,

Poznań, ul. Berlińska 15. Telefon Nr. 636.

Wyroby powyższe równają się najdroższym fabrykatom francuzkim i są w wszystkich plakatami oznaczonych miejscach do dostania w butelkach 1 ltr. à 2 mk., $^1/_2$ lt. à 1,25 mk. 749

Upraszamy spróbować!

Kupno okolicznościowe.

Z powodu działów familijnych jest na sprzedaż zaraz *pod bardzo korzystnemi warunkami*

piękny majątek

900 mórg w dobrej okolicy, niedaleko Gostynia, z pyszną ziemią, kompletnemi masiw budynkami, bogatym inwentarzem i pełnem żniwem i t. d. za cenę 180,000 mk. przy zaliczce 40,000 marek.

Łaskawe of. upr. do Ekspedycyi „Pracy“ lit. *B. P.*

Książkę do nabożeństwa

ś. p. ks. Arcybiskupa **Dunina** wydała z nakazu i polecenia Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa Dra Stablewskiego w nowym, przejrzanym i znacznie pomnożonym nakładzie z uwzględnieniem licznych pieśni kościelnych

księgarnia

J. B. Langiego w Gnieźnie.

Cena za egzemplarz oprawny w skórę ze żółtym brzegiem 2,25 fen., w skórę ze złotym brzegiem 3 marki, w okucie 5 marek.

Do nabycia wprost u nakładcy lub też w każdej innej księgarni. 783

Zdolnych

kolporterów

na Górnym Śląsku

poszukuje

Wydawnictwo „Pracy.“

Zgłoszenia adresować należy: „Do Filii Wydawnictwa „Pracy“ w Katowicach (Kattowitz). O/S. ul. Poprzeczna (Querstrasse) nr. 12.

Rzadka okazya!

350 sztuk za 3 mrk.

Piękny zegarek pozłacany wraz z pięk. łańcusz. z 3 letn. gwarancyą, pięk. cygarówka z burszt., pięk. pierścionek z imit. kamieniem, 6 chusteczek, garnitur guzików double do mankiet i koszuli, z zamkiem patent., pachnące mydło toal., scyzoryk, portmonetka skórz., lusterko toal. z etui, przyb. do pisania nikl., para butonów dla dam z imit. bryl., bardzo łudzące. 20 szt. przedm. do koresp., oraz 5 szt. wyroczn. wróżb. egip. i jeszcze 310 szt. różn. przedm. niezbęd. w domu. Wszystko razem z zegarkiem, który sam już wart te pieniądze, kosztuje **3 marki.**

Wysyłka za zaliczkę przez dom wysyłkowy 764

Ch. Jungwirth
Kraków 9.

NB. Za niepodobające się pieniądze z powrotem.

Osiedliłem się

jako

specyalista w chorobach chirurgicz.

Przyjmuje od godz. 11—12 i od 4—5-tej z wyjątkiem świąt.

Dr. Leon Mieczkowski.

Były asystent Prof. Mikulicza z Wrocławia. 781

Poznań, Podgórna 4 I.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach 369

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Plany sytuacyjne i niwelacyjne

jako też wszelkie materyały potrzebne do uzyskania subwencyi z kas prowincyonalnych i rządowych przy ulepszeniu i brukowaniu dróg, drenowaniu pól, zakładaniu zagajeń, oraz wszelkie prace miernicze i melioracyjne wykonuje

A. Jaks,

mierniczy przysięgły i inżynier kultury **w Pile** (Schneidemühl).

NB. Pomiary i podziały lasów, parcelacye pól i łąk celem wydzierżawienia w małych obszarach, podział na pólka (szlagi) celem zaprowadzenia prawidłowego gospodarstwa etc. bardzo tanio!

Skład

obszerny wraz z pomieszkaniem — dla bardzo korzystnego położenia odpowiedni do każdego przedsiębiorstwa — jest do wynajęcia.

H. Umbreit,
Strzelno. 792

Do powiększenia istniejącej **księgarni i handlu papieru** w wielkiej miejscowości przemysłowej poszukuje rodak **1500—2000 mk.** ew.

cichego spólnika.

Oferty uprasza się nadsyłać pod literą **A. B.** księgarnia do eksp. „Pracy“ nr. 786. 786

Kupiec — bławatnik

mający zamiar się osiedlić, szuka znajomości z panienką z lepszego domu celem

ożenku.

Kwestya majątkowa — wyżej 9,000 mk. Rodzice lub opiekunowie panienek, którem zależy na tem, aby oddać swą córkę w ręce trzeźwego i prawego harakteru człowieka zechcą swe adresy nadsyłać pod znakiem „Szczęście“ do eksped. „Pracy“ nr. 784. Słowem honoru ręczy się za dyskrecyą. 784

Olbrzymia wada.

— Podobno żenisz się z panną Zuzanną?
— Ani myślę!...
— Dlaczego, wszak ma tyle zalet?...
— Prawda, ale ma jednę olbrzymią wadę, która wszystkie psuje...
— Jaką?
— Nie chce mnie!...



Stefan Batory.

Podług rysunku Jana Matejki.